Murray Leinster

Służba Medyczna

(Med Service, The Mutant Weapon)

Astounding Science Fiction August 1957
Wersja książkowa: “The Mutant Weapon”, Ace, 1959
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

„We wszystkich działaniach w zwykłym życiu, prawdopodobieństwo ich niekorzystnych konsekwencji nigdy nie może być przyjmowane jako równe zeru. Wręcz przeciwnie, prawdopodobieństwo to wzrasta w bardzo dużym stopniu, w miarę jak sekwencja działań staje się coraz dłuższa. W konsekwencji, możemy stwierdzić, że efektem rozważań moralnych, jest matematycznie weryfikowalna redukcja liczby możliwych niekorzystnych zdarzeń losowych. Oczywiście to, czy proces ten nazwiemy inteligentnym wykorzystaniem prawdopodobieństwa, czy wyrzutami sumienia, nie ma znaczenia dla faktów. Jest to metoda, dzięki której występowanie niekorzystnych zdarzeń losowych staje się najmniej prawdopodobne. Żadnych arbitralnych działań, które nazwiemy przestępczymi, nigdy nie da się usprawiedliwić przy pomocy matematyki. Na przykład…”

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Calhoun leżał na koi i czytał książkę Fitzgeralda „Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka”, podczas gdy mały statek Medyczny leciał w hipernapędzie. W trakcie podróży w hipernapędzie nie ma nic do roboty, poza zabijaniem wolnego czasu. Tormal Murgatroyd, spał zwinięty w kłębek w jednym z kątów niewielkiej kabiny statku. Ogonek miał starannie owinięty wokół nosa. Światła na statku paliły się przez cały czas. Słychać było ciche, losowo generowane odgłosy, które muszą być zapewnione uszom, aby utrzymać człowieka przy zdrowych zmysłach w martwym bezruchu statku podróżującego z szybkością wielokrotnie większą od prędkości światła. Calhoun przewrócił stronę książki i ziewnął.

Gdzieś coś się ruszyło. Rozległo się kliknięcie i odezwał się głos:

— Po sygnale, za pięć sekund nastąpi wyjście.

W ciszy zabrzmiało metronomiczne klikanie, poważne i brzemienne celem. Calhoun podniósł się z koi i założył sobie w książce miejsce, w którym skończył czytać. Podszedł do fotela pilota, usiadł w nim i zapiął pas bezpieczeństwa. Powiedział:

— Murgatroyd. Wstań, wstań, skowronek na niebie coś-tam sobie śpiewa[1]. Obudź się i przyczesz wąsiki. Zbliżamy się do celu.

Murgatroyd otworzył jedno oko i zobaczył Calhouna w fotelu pilota. Rozprostował się i podszedł do miejsca, w którym było coś, czego mógł się przytrzymać. Popatrzył na Calhouna jasnym wzrokiem.

— Bing! — oznajmiła taśma. Odliczyła do jednego. — Pięć… cztery… trzy… dwa… jeden…

---

[1] Swobodne nawiązanie do pieśni Szekspira „Hark, hark! the lark at heaven's gate sings” (przyp. tłum.)

Zatrzymała się. Statek wyskoczył z hipernapędu. Wrażenia z tym związane, były trudne do pomylenia. Żołądek Calhouna zdawał się dwukrotnie fiknąć koziołka, a potem pojawiło się mdlące uczucie szaleńczego wirowania po spirali, w czymś co w jakiś sposób przypominało stożek. Przełknął ślinę. Murgatroyd również wydał z siebie odgłos przełykania. Na zewnątrz statku wszystko uległo zmianie.

W kosmicznej próżni po lewej burcie, w ciszy płonęło jaskrawym ogniem słońce Maris. Gromada gwiezdna Cetis pozostała daleko za rufą, a światło, dzięki któremu można ją było dostrzec, podróżowało przez wiele lat aby tutaj dotrzeć, choć Calhoun opuścił Kwaterę Główną zaledwie trzy tygodnie temu. Trzecia planeta Maris pędziła po swojej orbicie. Calhoun sprawdził obliczenia i skinął głową z zadowoleniem. Rzucił przez ramię do Murgatroyda.

— Wszystko w porządku, jesteśmy na miejscu.

— Chee! — pisnął z zachwytem Murgatroyd.

Odwinął ogon z uchwytu drzwi szafki, którego się przytrzymał, i podskoczył, aby zerknąć na ekran wizyjny. To, co zobaczył, oczywiście nic dla niego nie znaczyło. Ale wszystkie tormale naśladują zachowania ludzi, tak jak papugi naśladują ludzką mowę. Mrugnął mądrze w stronę ekranu i zwrócił wzrok na Calhouna.

— To Maris III — powiedział Calhoun — i jest całkiem blisko nas. To kolonia Dettry Dwa. Zgodnie z raportami, dwa ziemskie lata temu zostało założone jedno miasto. Obecnie powinna być już ona prawie skolonizowana.

— Chee-chee! — pisnął ostro Murgatroyd.

— No to, zejdź mi z drogi — polecił Calhoun. — Podlecimy bliżej i powiem im, że tu jesteśmy.

Wykonał standardowe podejście do planety, na napędzie międzyplanetarnym. Naturalnie był to dosyć długi proces. Jednakże po kilku godzinach mógł już pstryknąć przełącznikiem wywołania i zgłosić zwykłą identyfikację oraz prośbę o sprowadzenie na dół.

— Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* do ziemi — powiedział do nadajnika. — Proszę o współrzędne do sprowadzenia na powierzchnię. Moja masa wynosi pięćdziesiąt ton. Powtarzam, pięćdziesiąt ton. Cel lądowania: inspekcja zdrowotna planety.

Odprężył się. To zadanie powinno być zupełnie rutynowe. W porcie kosmicznym na Maris III była sieć lądownicza. Z jej sterowni powinny zostać wysłane instrukcje, wskazujące mu pozycję w odległości około pięciu średnic planetarnych od powierzchni planety. Mały statek Calhouna musiał przemieścić się w to miejsce. Następnie gigantyczna sieć lądownicza powinna wysunąć swoje wyspecjalizowane pole siłowe, zablokować w nim statek i łagodnie, lecz z nieodpartą siłą, sprowadzić go na ziemię. Po czym Calhoun, reprezentujący Służbę Medyczną, będzie musiał odbyć poważną konferencję z władzami planety, na temat warunków zdrowia publicznego na Maris III.

Nie należało się spodziewać, żeby wyskoczyło na niej coś ważnego. Calhoun miał dostarczyć szczegółowe informacje na temat ostatnich postępów medycyny. Być może dotarły one już na Maris III w ramach

zwykłej wymiany handlowej, ale chciał się co do tego upewnić. Być może - choć było to raczej mało prawdopodobne – on dowie się o jakiejś nowince, opracowanej tutaj. W każdym razie, nie później niż po jakichś trzech dniach powinien znaleźć się z powrotem na małym statku Medycznym, który sieć lądownicza wyniesie krzepko w niebo, na odległość nie mniejszą niż pięć średnic planetarnych, i tam go wypuści. Calhoun oraz Murgatroyd wraz ze statkiem Medycznym włączą wtedy hipernapęd i wrócą do kwatery głównej, skąd przylecieli.

Na razie jednak Calhoun czekał na odpowiedź na jego prośbę o sprowadzenie na powierzchnię. Korzystając z chwili czasu obrzucił wzrokiem ogromny dysk pobliskiej planety.

— Według mapy — powiedział do Murgatroyda — miasto powinno znajdować się na brzegu tej zatoki, gdzieś w pobliżu jej krańca. Blisko linii zachodu słońca.

Jego wezwanie zostało odebrane. Głos z głośnika komunikatora kosmicznego oznajmił z niedowierzaniem:

— Co? Co takiego? Co ty mówisz?

— Statek medyczny *Asklepios Dwadzieścia* — powtórzył cierpliwie Calhoun. — Proszę o współrzędne do lądowania. Moja masa wynosi pięćdziesiąt ton. Powtarzam, pięćdziesiąt ton. Cel lądowania: inspekcja zdrowotna planety.

Głos powiedział z jeszcze większym niedowierzaniem:

— Statek Medyczny? Do licha… — Zmiana dźwięku wskazywała, że człowiek na planecie odwrócił się od mikrofonu. — Hej! Posłuchajcie tylko tego!

Zapadła nagła cisza. Calhoun uniósł brwi. Zaczął bębnić palcami w znajdujący się przed nim pulpit sterowniczy. Nastąpiła długa chwila przerwy. Bardzo długa chwila przerwy. Potem z ziemi odezwał się nowy głos:

— Jej, ty tam! Przedstaw się!

Calhoun odpowiedział bardzo grzecznie:

— Tu statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*. Chciałbym zostać sprowadzony na powierzchnię. Cel lądowania: inspekcja zdrowotna.

— Czekaj — odparł głos z planety. Brzmiał, jakby pełen był napięcia.

Rozległy się jakieś szmery, transmitowane z odległości pięćdziesięciu tysięcy mil. Potem usłyszał kliknięcie. Nadajnik na dole został wyłączony. Calhoun ponownie uniósł brwi. To nie było zgodne z procedurą. Zupełnie nie! Służba Medyczna była mocno przepracowana i miała zbyt mało personelu. Zasoby służb międzyplanetarnych zawsze były wykorzystywane na granicach możliwości, ponieważ nie istniał żaden rząd galaktyczny jako taki. Wiele tysięcy zamieszkałych planet, oddalonych od siebie o całe lata świetlne, nie było w stanie organizować wspólnych wyborów ani utrzymywać wspólnych partii politycznych, z tego prostego powodu, że loty kosmiczne, nawet w nadprzestrzeni, były zbyt powolne. Mogły istnieć tylko pewne wspólne organizacje usługowe, których władza zależała od zgody ludzi, którym służyły, i poparcie dla których musiało być pozyskiwane, kiedy tylko i jeżeli, było to możliwe.

Służba medyczna była jednak niezaprzeczalnie ważną organizacją. Kwatera Główna miejscowego sektora znajdowała się w gromadzie Cetis. Był to rodzaj międzygwiezdnej kliniki z dodatkami. Gromadziła ona i rozpowszechniała wśród tysięcy kolonii planetarnych wyniki doświadczeń w dziedzinie zdrowia i medycyny, zaś od czasu do czasu nawiązywała kontakty z innymi Kwaterami Głównymi prowadzącymi tę samą działalność wszędzie indziej. Trzeba przyznać, że nowa technika selekcji genów potrzebowała pięćdziesięciu lat do przemierzenia zamieszkałej części galaktyki, lecz już bezpośrednie pokonanie tego samego dystansu zajmowało trzy lata. A Służba Medyczna była warta ponoszonych na nią nakładów. Jak dotąd nie wystąpił żaden problem związany z ekologicznym przystosowaniem się ludzi, którego nie udałoby się jej rozwiązać, a znalazłoby się kilkadziesiąt planet, na których ludzkie kolonie wręcz zawdzięczały jej swoje istnienie. Nie było takiego miejsca, w którym statek medyczny nie byłby mile widzianym gościem.

— Wy, tam na ziemi! — zapytał ostro Calhoun. — O co chodzi? Sprowadzanie mnie na dół, czy nie?

Nie było żadnej odpowiedzi. Nagle każde urządzenie na statku, zdolne do wytwarzania dźwięku, wydało z siebie ochrypły i potworny jazgot. Światła rozbłysły jaskrawo, a bezpieczniki poodcinały ich zasilanie. Każde urządzenie na pokładzie, stworzone do powiadamiania o zagrożeniu, zaczęło brzęczeć, wyć, ryczeć lub wrzeszczeć. Zapanował chwilowy chaos.

Trwało to jedynie przez ułamek sekundy. Potem wszystko ucichło. Na statku nie było ciążenia ani świateł. Panowała martwa cisza, zaś Murgatroyd w ciemności wydawał z siebie płaczliwe popiskiwania.

Calhoun przemknęła przez głowę absurdalna myśl: „Zgodnie z tą książką o prawdopodobieństwie, mamy tu do czynienia z losową niekorzystną konsekwencją, jakiegoś tam tego czy innego zdarzenia.” Jednak było to coś więcej niż wystąpienie losowej niekorzystnej konsekwencji. Była to konsekwencja zamierzona, drastyczna i prawdopodobnie śmiertelna w skutkach.

— Ktoś tu podjął jakieś działania — stwierdził Calhoun w ciemności, miarowo wypowiadając poszczególne słowa. — Co się tam u nich dzieje, do cholery?

Pstryknął przełącznikiem ekranu, aby przywrócić możliwość obserwacji rzeczy, dziejących się na zewnątrz. Ekrany wizyjne statku są bardzo starannie zabezpieczone przed przeciążeniem, ponieważ w całym kosmosie nie istnieje nic równie bezradnego i skazanego na porażkę, co ślepy statek znajdujący się w kosmicznej próżni. Lecz ekrany nie rozjaśniły się ponownie. Nie były w stanie. Bezpieczniki nie zadziałały dostatecznie szybko.

Calhoun poczuł ciarki na skórze. Ale gdy jego oczy się przystosowały, dostrzegł blade, fluorescencyjne podświetlenia uchwytów dźwigni i kontrolek sterów oraz drzwi. Oczywiście fluorescencyjnych podświetleń nie stworzono z myślą o takiej sytuacji, ale powinny bardzo pomóc. Wiedział, co się stało. To mogło być tylko jedno - pole sieci lądowniczej zaciśnięte na pięćdziesięciotonowym statku Medycznym z siłą potrzebną do uchwycenia i sprowadzenia na dół dwudziestotysięcznego liniowca. Przy

tej mocy musiało ono sparaliżować każde urządzenie i odpalić każdy bezpiecznik. To nie mógł być przypadek. Odbiór wiadomości o jego tożsamości, powtarzająca się prośba o identyfikację, a następnie żądanie, by czekał… To mordercze działanie miało celowy charakter.

— Być może — zauważył Calhoun w czarnej jak smoła kabinie — nasze lądowanie na dole, jako statku Medycznego, byłoby niekorzystną konsekwencją losową jakiegoś zdarzenia - i ktoś chce uniknąć jej realizacji. Na to wygląda.

Murgatroyd płaczliwie pisnął.

— I wydaje mi się — dodał chłodnym tonem Calhoun — że ten ktoś może potrzebować szybkiego kopa negatywnego sprzężenia zwrotnego!

Oswobodził się z pasów bezpieczeństwa i zanurkował przez kabinę, w której nie było obecnie żadnego ciążenia. W ciemności otworzył drzwiczki szafki. To, co zrobił w środku, było zwyczajowo wykonywane przez ludzi w grubych izolowanych rękawicach, w sieci lądowniczej w kwaterze głównej. Przełączył pewne przełączniki, które pozwalały na rozładowanie ogniw magazynujących energię, działających w hipernapędzie statku Medycznego. Aby wprowadzić w hipernapęd nawet pięćdziesięciotonowy statek, potrzebne były potworne ilości energii. Podobnie, takie same, potworne ilości energii były zwracane, gdy statek z niego wychodził. Energia ta odpowiadała czystej energii kilku uncji materii. Jako środek ostrożności odpowiednie jej ilości zwykle były umieszczane w ogniwach Duhanne'a statku Medycznego dopiero tuż przed samym jego startem, a po powrocie była ona natychmiast ponownie odprowadzana. Teraz jednak Calhoun przerzucił odpowiednie przełączniki, które udostępniały mu tę niesamowitą ilość energii, tak by w razie potrzeby można było ją wyrzucić w otaczające jego statek pole sieci lądowniczej.

Wrócił do fotela pilota.

Statek zatoczył się. Gwałtownie. Pole sieci poruszało nim bez śladu jakiejkolwiek delikatności. Ręce Calhouna ledwie zdążyły chwycić oparcie fotela pilota, zanim nastąpiło szarpnięcie, które niemal mu je wyrwało. Mało brakowało, a zastosowane przyspieszenie spowodowałoby, że zostałby z całej siły rzucony na tylną gródź kabiny. Był jednak daleko od planety. Znajdował się na końcu dźwigni o długości pięćdziesięciu tysięcy mil, a użycie tej dźwigni do zbyt brutalnego wstrząśnięcia nim wymagałoby specjalnych nastawień sterowania. Lecz ktoś je jednak wprowadzał. Szarpnięcie zmieniło kierunek. Został brutalnie rzucony na fotel, którego kurczowo się trzymał. Szamotał się przez chwilę. Kolejne szarpnięcie, znowuż w innym kierunku. Potem jeszcze jedno. Rzuciło go gwałtownie na fotel.

Gdzieś za jego plecami Murgatroyd pisnął gniewnie, gdy został ciśnięty przez całą kabinę. Złapał się jakiegoś uchwytu wszystkimi czterema łapkami i ogonem.

Kolejny wstrząs. Calhoun ledwie co zdążył zapiąć pasy bezpieczeństwa, gdy wściekłe szarpnięcie niemalże wyrzuciło go z fotela, próbując walnąć nim o sufit kabiny. Jeszcze jeden gwałtowny skok przyspieszenia i Calhoun rzucił się do sterów. Szarpanie i wstrząsanie statkiem nasiliło się nie do zniesienia. Poczuł mdłości. W pewnej chwili został tak wściekle wciśnięty w

fotel pilota, że znalazł się na skraju utraty przytomności; po czym kierunek pchnięcia został zmieniony na dokładnie odwrotny, tak że krew napływająca mu do głowy zdawała się ją rozsadzać. Ręce wymknęły się mu spod kontroli. Był kompletnie oszołomiony. Lecz kiedy jego dłonie rzucało na pulpit ze sterami, starał się, pomimo otarć i siniaków, przytrzymywać je na przełącznikach sterujących i za każdym razem je przerzucać. Praktycznie wszystkie obwody jego statku były przepalone, lecz pozostał mu jeszcze jeden…

Jego odrętwiałe palce pchnęły go wreszcie. Rozległ się ryk tak gwałtowny, że przypominał niemalże eksplozję. W końcu dotarł do przełącznika, uruchamiającego obwód rozładowujący ogniwa Duhanne'a. Przerzucił go. Zaprojektowano go tak, by po powrocie z lotu, rezerwa energii z hipernapędu małego statku, trafiała do magazynów energii w Kwaterze Głównej. Teraz jednak, wystrzeliła ona z przewodów energetycznych prosto w pole sieci lądowniczej. Były to setki milionów kilowatogodzin, wyemitowanych w ułamku sekundy. W powietrzu czuć było zapach ozonu. Odgłos wyładowania przypominał huk grzmotu.

Lecz na samym statku nagle zapanował dziwny i niesamowity spokój. Światła zaczęły się chwiejnie zapalać, w miarę jak drżące palce Calhouna załączały kolejne bezpieczniki. Murgatroyd pisnął z oburzeniem, desperacko wczepiony w stojak na przyrządy. Jednakże ekrany wizyjne nie chciały ponownie się rozjaśnić. Calhoun zaklął. Błyskawicznie załączył kolejne bezpieczniki przywracające działanie obwodów. Wskaźnik najbliżej położonych obiektów poinformował go o obecności Maris III w odległości czterdziestu paru tysięcy mil. Wskaźnik temperatury kadłuba podniósł się o jakieś pięćdziesiąt sześć stopni. Wewnętrzne pole grawitacyjne włączyło się na pół mocy, a następnie powróciło do normalnego poziomu. Ale ekrany nie chciały się rozjaśnić. Zostały trwale uszkodzone. Calhoun wściekał się przez kilka sekund. Potem wziął się w garść.

— Chee-chee-chee! — szczebiotał rozpaczliwie Murgatroyd. — Chee-chee!

— Zamknij się! — warknął Calhoun. — Jakiś bystry chłopak tam na ziemi wymyślił nowy sposób na popełnienie morderstwa. I prawie mu się udało! Pomyślał sobie, że wytrzęsie nas na śmierć jak pies szczura, tyle że użył do tego sieci lądowniczej. Mam nadzieję, że w odpowiedzi go usmażyłem!

Nie było to jednak specjalnie prawdopodobne. Strumienie energii, jakich używa się do obsługi dwudziestotysięczników, nie są zarządzane bezpośrednio, lecz poprzez przekaźniki. Ładunek, który Calhoun wyrzucił w pole sieci, powinien wysadzić transformatory sterujące jej elementami, w połączeniu ze spektakularnym pokazem fajerwerków, ale było mało prawdopodobne, aby dotarł on do osoby za sterami.

— Mam nadzieję jednak — zauważył mściwie Calhoun — że uzna on to za niekorzystne zdarzenie. Ktoś też będzie musiał podkulić ogon, albo za to, że próbował zrobić to, co zrobił, albo za to, że nie udało mu się tego zrobić! Wyłącznie z czystej ostrożności…

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Starał się nie myśleć o konsekwencjach braku obrazu kosmosu wokół statku. Teraz przypomniał

sobie o teleskopie elektronowym. Nie był włączony, więc nie powinien się spalić, tak jak ekrany wizyjne. Włączył go. Nad jego głową pojawiło się pole gwiezdne.

— Chee-chee! — zawołał histerycznie Murgatroyd.

Calhoun rzucił okiem w jego stronę. Szarpnięcia statku spowodowały przesunięcie instrumentów na stojaku, którego uczepił się Murgatroyd. Mimo że były mocno przypięte na swoich miejscach, złapały jednak ogon Murgatroyda i mocno go ścisnęły.

— Będziesz musiał chwilę zaczekać — warknął Calhoun. — Teraz muszę sprawić, żebyśmy wyglądali tak, jakby wypadek był udany. W przeciwnym razie ten kto próbował rozmaślić nas na ścianach kabiny, spróbuje jakiegoś kolejnego numeru!

Statek Medyczny pędził przez przestrzeń kosmiczną w tym kierunku i z tą prędkością, jaką posiadał w chwili wybuchu pola sieci. Calhoun przesunął pole widzenia teleskopu elektronowego i jednocześnie włączył awaryjne sterowanie rakietowe. Rozległ się warkot cienkich jak ołówek płomieni odrzutu, wyrzucanych z dużą prędkością. Statek zakołysał się w locie.

— Tylko nie po linii prostej — napomniał sam sobie Calhoun.

Wprowadził statek w zawrotną spiralę, tak jakby niezliczone elementy zostały w nim zniszczone lub rozbite, a rakiety uruchomiły się same z siebie. Skrupulatnie posłał za burtę, jednym wyrzutem, wszystkie zmagazynowane podczas lotu odpady, których nie można było pozbyć się w hipernapędzie. Dla każdego przyrządu skanującego przestrzeń kosmiczną z powierzchni planety, musiało to wyglądać jak gwałtowna detonacja wewnątrz statku.

— A teraz…

W polu widzenia teleskopu elektronowego pojawiła się planeta Maris III. Wyglądała, jakby znajdowała się strasznie blisko, ale to było tylko powiększenie teleskopu. Mimo to Calhoun zaniepokoił się. Dla pewności rzucił okiem na wskaźnik najbliższej położonych obiektów. Planeta zbliżyła się o tysiąc mil.

— Ha! — stwierdził Calhoun.

Zmienił spiralny kurs statku. Zmienił go ponownie. Gwałtownie odwrócił kierunek obrotów. Odpowiednia wiedza o walce w kosmosie byłaby mu pomocna w wytyczeniu kursu uniku, ale przez to mógłby on stać się rozpoznawalny. Teraz jednak nikt nie był w stanie przewidzieć jego manewrów. Dostroił teleskop następnym razem, gdy planeta przeleciała przez jego pole widzenia i włączył fotorejestrator. Następnie wyszedł ze spirali, wykręcił statkiem, aż miasto znalazło się w polu widzenia teleskopu, i uruchomił rejestrator na tak długo, na ile ośmielił się utrzymać w miarę prosty tor lotu. Następnie skierował się w stronę planety w szalonym, zakręconym zejściu, z nieregularnymi przerwami, i wreszcie wykonał ostatni szaleńczy skok niemal równolegle do powierzchni planety.

W odległości pięciuset mil odsłonił porty widokowe, które w pustej przestrzeni z konieczności musiały pozostawać zamknięte. Niebo było

jaskrawo rozświetlone gwiazdami. Za sterburtą rozciągała się rozległa czerń, stanowiąca nocną stronę planety.

Zszedł niżej. Na wysokości czterystu mil wskazówka miernika ciśnienia zewnętrznego z wahnięciem oderwała się od zera. Skorzystał z odczytu, analogicznie jak z podobnych odczytów w pilotowanym odrzutowcu, wykonując w głowie obliczenia pozwalające na oszacowanie ciśnienia statycznego, jakie powinno panować na tej wysokości, aby skonfrontować je z ciśnieniem dynamicznym wytwarzanym przez szybkość statku pomimo niemal zupełnej próżni. Wskazywane ciśnienie zasadniczo powinno być równe zeru. Obrócił statek tyłem do przodu i zredukował prędkość, tak aby zmniejszyć wskazanie ciśnienia. Statek obniżał lot. Dwieście mil. Zobaczył cienką, jasną linię słońca na krańcu planety. Zszedł na setkę mil. Wyłączył rakiety i pozwolił statkowi opadać w ciszy, unosząc jego dziób do góry.

Na dziesięciu milach zaczął nasłuchiwać promieniowania radiowego wytwarzanego przez człowieka. W widmie elektromagnetycznym nie znalazł niczego poza trzaskiem zakłóceń elektrostatycznych wywołanych przez burzę elektryczną, która mogła mieć miejsce tysiąc mil stąd. Na wysokości pięciu mil wskaźnik najbliżej położonych obiektów, utrzymujący się się w pobliżu dolnej części skali, zafalował w sposób wskazujący na to, że statek wciąż miał pewien wektor prędkości znoszący go bokiem nad górzystym terenem. Wykonał lekki skręt i zdusił tę prędkość.

Na dwóch milach użył rakiet do hamowania. Cienki jak ołówek płomień odrzutu strzelił w dół na niewiarygodną odległość. Na podstawie obserwacji gołym okiem przez port widokowy, ustawił skośnie ryczący, szybko opadający statek w taki sposób, że zbocza i lasy pod nim przestały się poruszać. Do tego czasu znalazł się już bardzo nisko.

Dotarł w pobliże ziemi nad górskim terenem, oświetlanym przez niebiesko-białe płomienie odrzutu rakiet. Wybrał miejsce, w którym korony drzew ułożone były niemal płasko, co wskazywało na obecność pod spodem czegoś w rodzaju płaskowyżu. Do tego czasu Murgatroyd wpadł już niemal praktycznie w szał z powodu niemożności uwolnienia się i bolącego, przytrzaśniętego ogona, lecz Calhoun nie mógł poświęcić nawet jednej chwili na jego uwolnienie. Delikatnie sprowadzał statek w dół, starając się schodzić po idealnie pionowej linii.

Jeśli nawet lądowanie nie było perfekcyjne, to było ono bardzo bliskie ideałowi. Statek osiadł w zagłębieniu, które było praktycznie wypalonym tunelem pośród monstrualnych drzew. Cienki płomień odrzutu o dużej prędkości nie rozprysnął się, gdy dotarł do ziemi. Wwiercił się w nią. Wypalił sobie dziurę w próchnicy, glinie i skalnym podłożu. Kiedy statek zetknął się z ziemią i siadał, mniej więcej sześćdziesiąt stóp pod powierzchnią bulgotała roztopiona skała, lecz gdy znieruchomiał, słychać było jedynie jakieś ciche szmery. Obcięty przez płomień odrzutu konar drzewa otarł się delikatnie o kadłub.

Calhoun wyłączył rakiety. Statek lekko się zachwiał i rozległy się ciche chrupnięcia. Po chwili stanął na płetwach ogonowych.

— Teraz — oznajmił Calhoun — mogę się tobą zająć, Murgatroyd.

Wcisnął włączniki zewnętrznych mikrofonów, które były znacznie bardziej czułe niż ludzkie uszy. Detektory fal radiowych wciąż działały. Nadal zgłaszały jedynie trzaski odległej burzy.

Lecz mikrofony wypełniły wnętrze statku jękiem wichru nad pobliskimi szczytami gór i niemal ogłuszającym szumem szeleszczących liści. Pod tymi odgłosami kryła się mieszanina innych naturalnych dźwięków. Były to rozmaite ćwierkania, pohukiwania, piski i pomruki wydawane przez miejscowe zwierzęta. Odgłosy te były wyjątkowo spokojne. Kiedy Calhoun wyciszył je do poziomu szumu tła, stworzyły one sugestię czegoś w rodzaju koncertu nocnych stworzeń, który dla ludzi zawsze wydawał się oznaką najczystszego spokoju.

Po kilku chwilach Calhoun mógł rzucić okiem na zdjęcia wykonane przez fotorejestrator, gdy teleskop omiótł miasto. Było to miasto kolonii, o którym meldowano, że zostało założone dwa lata wcześniej w celu przyjęcia kolonistów z Dettry Dwa. Była to siedziba sieci lądowniczej, która próbowała zniszczyć statek Medyczny, tak jak pies zabija szczura, rozrywając go na kawałki, mniej więcej czterdzieści tysięcy kilometrów od planety, w przestrzeni kosmicznej. I właśnie to miasto sprawiło, że Calhoun musiał lądować z zamkniętymi oczyma, a jego rezerwy energii zostały pozbawione setek milionów kilowatogodzin. To miasto czyniło niemożliwym jego powrót do Kwatery Głównej Służby Medycznej.

Przyjrzał się obrazom z teleskopu. Były bardzo wyraźne. Pokazywały miasto z zadziwiającą szczegółowością. Widać było koronkowy wzór autostrad, z wyrastającymi wokół nich gronami osiedli domów wielorodzinnych. Pomiędzy budynkami stolicy planety rozciągały się bujne parki. Można było też dojrzeć samą sieć lądowniczą, wysoką na pół mili konstrukcję ze stalowych belek, o szerokości całej mili.

Lecz na autostradach nie było żadnych pojazdów. Na estakadach chodników nie było widać plamek wskazujących na pieszych. Na dachach budynków nie było helikopterów, a w powietrzu nie było żadnych obiektów świadczących o ruchu powietrznym.

Miasto było albo opuszczone, albo nigdy nie zostało zamieszkane. Ale było absolutnie nienaruszone. Konstrukcje miejskie były idealne. Nic nie wskazywało na żadne ślady paniki lub katastrofy, a nawet autostrady nie zostały zarośnięte przez roślinność. Lecz miasto było puste - albo martwe.

Ktoś w nim jednak, z ogromną zaciekłością i z wyjątkową skutecznością, próbował zniszczyć statek Medyczny.

Calhoun uniósł brwi i popatrzył na Murgatroyda.

— Po co to wszystko? — zapytał. — Masz jakieś pomysły?

— Chee! — zapiszczał Murgatroyd.

II

„Celem przemyślanego wcześniej działania człowieka było zawsze osiągnięcie jakiegoś pożądanego subiektywnego doświadczenia. Lecz subiektywne doświadczenie może być pożądane zarówno pod względem swej intensywności, jak i czasu trwania. Dla danej jednostki stopień atrakcyjności dla różnych poziomów intensywności doświadczenia jest łatwy do obliczenia. Jednakże stopień atrakcyjności związany z różnym czasem jego trwania, jest równie niezbędny do oszacowania prawdopodobieństwa wykonania danego działania przez daną osobę. Ta kwestia zależy od indywidualnego poczucia czasu tej osoby; jego precyzji i dokładności. Pomiary poczucia czasu…”

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Calhoun w końcu ruszył się ze statku i znalazł pole uprawne, martwego człowieka oraz inne rzeczy. Ale dopóki pozostawał na jego pokładzie, nie znalazł niczego poza dezorientacją. Pierwszego ranka uważnie monitorował całe spektrum łączności. W eterze Maris III nie było żadnych sygnałów nadawanych przez ludzi. Był to dowód na to, że planeta ta była niezamieszkana. Jednak w połowie poranka zewnętrzne mikrofony statku wychwyciły ryk rakiety. Calhoun wyjrzał na zewnątrz i zobaczył słaby biały ślad odrzutu silników rakietowych na tle błękitnego nieba. Fakt, że dostrzegł rakietę, świadczył o tym, iż znajdowała się w atmosferze. I świadczył również, że rakieta robiła zdjęcia w poszukiwaniu śladów krateru, który statek Medyczny powinien był wybić w ziemi, rozbijając się na powierzchni planety.

Sam fakt prowadzenia poszukiwań był z kolei dowodem na to, że planeta była zamieszkana, ale cisza w całym spektrum radiowym świadczyła o tym, że nie była. Brak żadnego ruchu w mieście oznaczał, że było ono martwe lub puste, ale musieli być tam jacyś ludzie, ponieważ odpowiedzieli na wezwanie Calhouna i próbowali go zabić, gdy się przedstawił. Tylko kto chciałby niszczyć statek Medyczny? Chyba że w celu niedopuszczenia do przeprowadzenia inspekcji zdrowotnej, w przypadku gdyby tu na dole doszło do sytuacji, o której Służba Medyczna nie powinna się dowiedzieć. Lecz taka sytuacja w ogóle nie powinna mieć miejsca.

Nie było żadnego logicznego wytłumaczenia dla takiej serii dziwnych sprzeczności. Cywilizowani ludzie działali albo w ten, albo w inny sposób. Tutaj mogli przebywać tylko cywilizowani ludzie, lecz nie działali oni ani w ten, ani w inny sposób. Dlatego… i cały kocioł zaczynał się od nowa.

Calhoun podyktował relację z minionych wydarzeń do alarmowego urządzenia rejestracyjnego na statku. Jeśli z kosmosu nadejdzie wezwanie od ekipy ratunkowej, nadajnik prześle te dane i zamierzenia Calhouna odnośnie do jego dalszych działań. Ostrożnie wyłączył wszystkie inne działające na statku obwody, aby nie mógł on zostać odnaleziony przez wykrycie emisji ich promieniowania. Przygotował się do drogi i wraz z Murgatroydem opuścili statek. Oczywiście, skierowali się w stronę miasta, gdzie koncentrowało się całe obecne na planecie zło.

Nie byli przyzwyczajeni do podróży na piechotę, lecz nie była ona specjalnie trudna. Roślinność miała na wpół znajomy charakter. Maris III była planetą typu ziemskiego i krążyła wokół słońca typu Sol, a więc biorąc pod uwagę podobne warunki jeśli chodzi o ciążenie, powietrze, światło słoneczne i zakres temperatur, powinny się na niej rozwinąć podobne organizmy. Powinno, na przykład, znaleźć się tu miejsce dla nisko rosnących roślin poszycia, a także dla tych czerpiących zyski ze swej wysokości. Powinien więc istnieć tutaj jakiś odpowiednik trawy oraz odpowiednik drzew, z właściwymi formami pośrednimi o pośrednich rozmiarach. Podobne rozumowanie miało zastosowanie do życia zwierzęcego. Powinny istnieć tu równoległe nisze ekologiczne dla zwierząt, oraz zwierzęta przystosowane do ich wypełnienia.

Maris III nie była więc środowiskiem krańcowo odmiennym od ziemskiego. Bardziej przypominała jakąś nieznaną część znanej planety, niż zupełnie nowy świat. Istniały jednak pewne osobliwości. Roślinożerne stworzenia bez nóg, wijące się jak węże. Stworzenia wielkości gołębia, których skrzydła były zmodyfikowanymi, cienkimi jak pajęczyna łuskami, o opalizujących kolorach. Istniały także stworzenia, które zdawały się żyć w obłędnych związkach, a Calhouna prześladowała irytująca ciekawość, czy naprawdę były one symbiontami, czy tylko nierozpoznawalnymi formami tego samego gatunku, takimi jak na przykład będący zwierzęciem lądowym samiec i podobna do latającego świetlika samica.

Musieli jednak zmierzać do miasta. Nie miał więc czasu na biologię. Pierwszego dnia podróży rozglądał się za czymś do jedzenia, aby oszczędzać niesione w plecaku racje żywnościowe. Przydawał się tu Murgatroyd. Mały tormal miał swoje miejsce w społeczeństwie ludzkim. Był przyjazny, z pasją naśladował istoty ludzkie i miał swoją własną psychologię. Ale bywał też użyteczny. Kiedy Calhoun przemierzał lasy, Murgatroyd kroczył razem z nim na tylnych łapkach, naśladując jego chód. Od czasu do czasu opadał na cztery łapy, by coś zbadać. Nieodmiennie jednak doganiał Calhouna w ciągu kilku sekund.

W pewnej chwili Calhoun dostrzegł, jak tormal z zaciekawieniem odgryza niewielki kawałek mało obiecująco wyglądającej łodygi krzewu. Delektował się jej smakiem, a potem go połknął. Calhoun zwrócił uwagę na tę roślinę i sam również odciął kawałek. Przywiązał go na ręce w okolicy łokcia, na gołej skórze. Kilka godzin później nie wystąpiła żadna reakcja alergiczna, więc spróbował. Smak był niemalże znajomy. Krzew miał smak pędów paproci, zmieszany z owocowym posmakiem. Mógłby więc służyć jako zielony pokarm, taki jak szpinak czy szparagi, wypełniający żołądek, lecz bez większej treści.

Później Murgatroyd zaczął badać soczyście wyglądający owoc, który rósł wystarczająco nisko, aby mógł go zerwać. Obwąchał go dokładnie i odsunął się od niego. Calhoun również zwrócił uwagę na tę roślinę. Gatunek Murgatroyda hodowany był w Kwaterze Głównej ze względu na kilka bardzo cennych cech. Jedną z nich był niesamowicie wrażliwy żołądek - ale tylko jedną. Metabolizm Murgatroyda był bardzo zbliżony do ludzkiego. Jeśli coś zjadł i mu to nie zaszkodziło, to najprawdopodobniej człowiek też mógł to jeść. Jeśli coś odrzucił, prawdopodobnie nie nadawało się to również dla ludzi. Lecz jego prawdziwe walory były znacznie ważniejsze niż degustacja budzących wątpliwości potraw.

Kiedy Calhoun pierwszej nocy rozbił obóz, rozpalił ognisko z rośliny w kształcie kaktusa, przesączonej jakimś olejem. Okopując ją odpowiednio ziemią, ograniczył obszar jej spalania do okrągłego miejsca, bardzo zbliżonego do bezpośredniego elementu grzewczego kuchenki elektronicznej. Była to dziwaczna ilustracja faktu, że postęp ludzkości nie wiąże się w zasadzie z niczym naprawdę nowym, a jedynie ze zwiększeniem wygody i dostępności dosyć prymitywnych udogodnień. Przy świetle tego okrągłego ogniska Calhoun prawdę mówiąc próbował trochę poczytać. Jednak światło było niewystarczające. W końcu ziewnął. Nie można było zajść daleko w Służbie Medycznej bez znajomości wpływu prawdopodobieństwa na zachowanie ludzi. Umożliwiało to kontrolę dokładności oświadczeń składanych lekarzom ze statków Medycznych, zarówno przez pacjentów, jak i urzędników na wizytowanych planetach. Dziś jednak pokonał długą drogę na piechotę. Zerknął na Murgatroyda, który z powagą udawał, że coś czyta z jakiegoś wyjątkowo prostego liścia.

— Murgatroyd — oznajmił Calhoun — jest możliwe, że będziesz w stanie zinterpretować każdy dziwny dźwięk jako niepożądane subiektywne doświadczenie. Czyli jako coś niebezpiecznego. Więc jeśli w nocy usłyszysz coś dużego, co się będzie zbliżać, mam nadzieję, że zaczniesz piszczeć. Dziękuję.

Murgatroyd odparł „Chee” i Calhoun przewrócił się na drugi bok, a potem zasnął.

Było mniej więcej koło południa następnego dnia, kiedy natknął się na pole uprawne. Wykarczowano je i obsadzono, oczywiście w ramach przygotowań na przyjęcie kolonistów, którzy mieli zająć miasto. Rosły na nim znajome ziemskie rośliny, wysokie na trzy metry i więcej. Calhoun zbadał uważnie to miejsce, w nadziei, że dowie się, jak dawno temu po raz ostatni zwracano na nie jakąś uwagę. Podczas tego badania znalazł martwego człowieka.

Jako trup, człowiek był zupełnie świeży i Calhoun bardzo uważnie przełączył się w ściśle medyczny stan umysłu, zanim pochylił się, aby dokonać technicznej oceny tego, co i kiedy się wydarzyło. Wyglądało na to, że nieboszczyk umarł z głodu. Był strasznie wychudzony i nie wyglądał na kogoś związanego położonym daleko od miasta z polem uprawnym. Sądząc po ubraniu, był raczej mieszkańcem miasta i to zamożnym. Nosił biżuterię, która w dzisiejszych czasach znacznie lepiej wskazywała na zawód i status człowieka, niż wartość jego majątku. W kieszeniach miał pieniądze, przybory do pisania, portfel ze zdjęciami i dokumentami

tożsamości oraz typowe drobiazgi, jakie człowiek zwykle nosi przy sobie. Był urzędnikiem miejskim. I nie powinien był umrzeć z głodu.

A już szczególnie nie powinien głodować w takim miejscu! Słodka kukurydza była wysoka i zielona. Jej kaczany dojrzały. Nie powinien być głodny! Dookoła widać było niejadalne resztki co najmniej dwudziestu kolb słodkiej kukurydzy. Zostały zjedzone jakiś czas temu – kilka dni temu, a jedna z nich pozostała niedokończona. Jeśli zmarły zjadł je, lecz nie był w stanie ich strawić, jego brzuch powinien być spuchnięty od niestrawionego pokarmu. Tak jednak nie było. Jadł i trawił, a mimo to umarł, w znacznej mierze, przynajmniej, z powodu wycieńczenia.

Calhoun groźnie się rozejrzał.

— A co powiesz na tę kukurydzę, Murgatroyd? — zaczął się dopytywać.

Wyciągnął rękę i odłamał półmetrowy kaczan. Oderwał ochronne, żylaste łuski. Miękkie ziarna pod spodem wyglądały apetycznie. Pachniały dobrym, świeżym jedzeniem. Calhoun nadstawił kaczan Murgatroydowi.

Mały tormal wziął go w swoje łapki i od razu zaczął zajadać ze smakiem.

— Jeśli się nie porzygałeś, on nie mógł umrzeć od zjedzenia tego — stwierdził Calhoun, marszcząc brwi. — A jeśli to zjadł - co zrobił - nie umarł z głodu. Co przecież zrobił.

Czekał przez chwilę. Murgatroyd pochłonął całe ziarno z ogromnej kolby. Jego futrzany brzuszek mocno się napiął. Calhoun zaproponował mu drugi kaczan. Z ewidentną przyjemnością zabrał się także za niego.

— W całej historii — stwierdził Calhoun — nikt jeszcze nie był w stanie otruć żadnego z was, tormali, ponieważ w waszym układzie trawiennym macie jednostkę analizy jakościowej, która wrzeszczy o cholernym morderstwie, jeśli coś może się być w niezgodzie z waszym organizmem. Z pewnością reakcja każdego tormala byłaby następująca: już dawno dostałbyś wymiotów, gdyby to coś nie nadawało się do jedzenia.

Lecz Murgatroyd jadł, aż brzuszek wyraźnie się mu nadął. Z ewidentnym żalem zostawił kilka ziarenek na drugim kaczanie. Położył go ostrożnie na ziemi. Przesunął łapką po wąsach z lewej strony i starannie ją oblizał. To samo zrobił z wąsami po prawej stronie pyszczka. Powiedział spokojnie: „Chee!"

— A więc to jasne — powiedział mu Calhoun. — Ten człowiek nie umarł z głodu. Zaczynam czuć coraz większy niepokój!

Oczywiście miał w plecaku zestaw laboratoryjny. Był to absurdalnie mały zestaw z niemal mikroskopijnymi instrumentami. Jednak w pracach terenowych na statku Medycznym, techniki mikroanalizy były standardem. Z niesmakiem Calhoun pobrał maleńką próbkę tkanki ze zwłok, z której mógł zebrać niezbędne informacje. Wstając, przeprowadził badania analityczne, które wydawały się niezbędne. Nie znalazł nic nowego. Kiedy skończył, pochował zmarłego najlepiej jak mógł i ponownie ruszył w stronę miasta. Idąc, rozglądał się ponurym wzrokiem.

Zanim się odezwał, minęło prawie pół godziny. Murgatroyd towarzyszył mu teraz na czworakach ze względu na zjedzony obfity posiłek. Po pokonaniu półtorej mili Calhoun zatrzymał się i oznajmił ponuro:

— Przebadajmy cię, Murgatroyd.

Sprawdził puls, oddech i temperaturę tormala. Pobrał maleńką próbkę wydychanego powietrza do tej części zestawu laboratoryjnego, która odczytywała podstawowe procesy metabolizmu. Poczekał beznamiętnie. Wynik badania był taki, że tormal Murgatroyd jest w całkowicie normalnym stanie.

— Ale — rzucił ze złością Calhoun — ten człowiek umarł z głodu! W próbce jego tkanki praktycznie w ogóle nie było tłuszczu! Dotarł tam, gdzie go znaleźliśmy, kiedy był jeszcze na tyle silny, by jeść, i pozostał w miejscu, gdzie miał dobre jedzenie, jadł je, trawił i umarł z głodu. Dlaczego?

Murgatroyd kręcił się nieszczęśliwie, bo głos Calhouna miał oskarżycielski ton. Odparł: „Chee!” przytłumionym głosem. Popatrzył błagalnie na Calhouna.

— Nie jestem zły na ciebie — powiedział mu Calhoun, — ale, do cholery…

Spakował zestaw laboratoryjny z powrotem do plecaka, który zawierał żywność dla nich obu, na około tydzień.

— Chodźmy! — powiedział z goryczą. — Ruszył. Dziesięć minut później zatrzymał się. — To, co powiedziałem, jest niemożliwe. Ale coś takiego się wydarzyło, więc nie mogło się to odbyć w taki sposób, jak to powiedziałem. Musiałem coś źle powiedzieć. Mógł jeść, bo to robił. Jadł, bo zostały tam resztki kolb. Przetrawił je. Dlaczego więc umarł z głodu? Czy zaprzestał jedzenia?

— Chee! — stwierdził z przekonaniem Murgatroyd.

Calhoun chrząknął i ponownie pomaszerował dalej. Człowiek nie zmarł z powodu choroby, przynajmniej nie bezpośrednio. Analiza tkanek dała obraz śmierci, który wykluczał, jakoby nastąpiła ona w wyniku zaprzestania funkcjonowania jakiegokolwiek organu. Czy była to więc niemoc organizmu - człowieka - w podjęciu jakichś czynności niezbędnych do życia? Czy w ogóle zaprzestał jedzenia?

Umysł Calhouna ostrożnie omijał tę myśl. To nie było możliwe. Człowiek był w stanie samodzielnie się nakarmić i zrobił to. Wszystko, co go spotkało i sprawiło, że nie był w stanie się pożywić…

— On był z miasta — warknął Calhoun — a jesteśmy cholernie daleko od miasta. Co on tu w ogóle robił?

Zawahał się i znów ruszył dalej. Mieszkaniec miasta, który znalazł się głodny w odległym miejscu, mógł w jakiś sposób zaginąć. Ale jeśli nawet ten człowiek jakoś się zgubił, to z pewnością nie był pozbawiony jedzenia.

— On był z miasta — oznajmił zirytowany Calhoun — i opuścił je. Miasto jest prawie, ale nie całkiem wyludnione. Są w nim przecież nasi niedoszli mordercy. To jest nowa kolonia. Trzeba było zbudować miasto oraz zaorać i obsiać pola, a potem miała tu przybyć ludność z Dettry Dwa. Miasto zostało zbudowane, a pola zaorane i obsiane. Gdzie są ludzie?

Spojrzał w zamyśleniu przed siebie, wbijając wzrok w ziemię. Murgatroyd też próbował się skrzywić, ale niezbyt mu się to udało.

— Jaka może być na to wszystko odpowiedź, Murgatroyd? Czy ten człowiek odszedł z miasta, bo był chory? Czy został z niego wypędzony?

— Chee — odparł Murgatroyd bez przekonania w głosie.

— Ja też nie wiem — przyznał Calhoun. — Doszedł na środek tego pola i zatrzymał się. Był głodny i jadł. Trawił. Leżał tam przez kilka dni. Dlaczego? Czekał, aż na coś umrze? Niebawem zaprzestał jedzenia. Umarł. Co kazało mu opuścić miasto? Co sprawiło, że przestał jeść? Dlaczego umarł?

Murgatroyd zbadał jakąś małą roślinę i zdecydował, że nie jest ona specjalnie interesująca. Wrócił więc do Calhouna.

— Nie został zabity — mówił dalej Calhoun, — nas jednak ktoś próbował zabić – ktoś, kto jest w tej chwili w mieście. Ten człowiek mógł tutaj uciec, żeby nie zostać zabitym przez tych samych ludzi. A jednak jakimś sposobem umarł. Dlaczego ktoś miałby go zabić? Dlaczego ktoś chciał nas zabić? Dlatego że jesteśmy statkiem Służby Medycznej? Ponieważ nie chcieli, aby Służba Medyczna dowiedziała się, że tu panuje jakaś choroba? To śmieszne!

— Chee — potwierdził Murgatroyd.

— Nie podoba mi się to wszystko — stwierdził Calhoun. — Na przykład każdy system ekologiczny musi mieć w swym składzie jakichś padlinożerców. Przynajmniej część z nich to stworzenia latające. Gdyby miasto było pełne zwłok, powinny być tego wyraźne oznaki. Nie ma ich. Z drugiej strony, gdyby miasto kiedyś było zamieszkane i pojawiła się jakaś choroba, to przywitaliby statek Medyczny z otwartymi ramionami. Lecz ten zmarły człowiek nie opuścił miasta wskutek jakiegoś zwykłego biegu wypadków i nie umarł w konwencjonalny sposób. Mamy więc puste miasto, nieprawdopodobne zwłoki ludzkie i jeszcze bardziej nieprawdopodobną próbę morderstwa! Co to daje razem, Murgatroyd?

Murgatroyd chwycił Calhouna za rękę i pociągnął. Wyraźnie się nudził. Calhoun powoli ruszył dalej.

— Paradoksy w naturze nie występują — podsumował ponuro Calhoun. — Rzeczy, które wydarzają się w naturalny sposób, nigdy nie są ze sobą sprzeczne. Takie paradoksy mogą pojawić się tylko wtedy, gdy to ludzie próbują robić coś, co do siebie nie pasuje – na przykład panosząca się zaraza i próba zniszczenia statku Medycznego, jeśli faktycznie mamy z czymś takim do czynienia. Albo życie w mieście i nie pokazywanie się na ulicach, jeśli tak właśnie się dzieje. I umieranie z głodu, gdy system trawienny jest w porządku, a w zasięgu ręki jest pełno jedzenia. I tak właśnie się stało! W porcie kosmicznym, Murgatroyd, natknęliśmy się na czyjeś brudne sprawki. Podejrzewam, że brudne sprawki czają się tu na każdym skrzyżowaniu ulic. Miej oczy otwarte.

— Chee — zgodził się Murgatroyd. Calhoun ruszył teraz szybkim krokiem, więc Murgatroyd puścił jego rękę i wypuścił się do przodu, żeby wszystko sobie dobrze obejrzeć.

Calhoun pokonał wierzchołek zaokrąglonego wzgórza, jakieś trzy mile od płytkiego grobu, który wykopał. Zaczął już akceptować myśl, że to zmarły z jakiegoś powodu zaprzestał jedzenia, jako jedyne możliwe wyjaśnienie jego śmierci. Ale to nie czyniło tego wszystkiego bardziej wiarygodnym. Zobaczył przed sobą kolejne pasmo wzgórz.

Po upływie kolejnej godziny dotarł na wierzchołek tego dalszego pasma. Były to zerodowane pozostałości jakiegoś bardzo starożytnego

łańcucha górskiego, obecnie startego do wysokości zaledwie tysiąca pięćset lub dwóch tysięcy stóp. Zatrzymał się na samym wierzchołku. To był czas i miejsce, aby się rozejrzeć i zapamiętać sobie to, co zobaczy. Podobny pofalowany teren ciągnął się łagodnie przez wiele mil, zaś na horyzoncie widać było błękitne odblaski morza. Nieco na lewo dostrzegł odbłysk lśniącej bieli. Chrząknął.

Było to miasto Maris III, które zostało zbudowane, aby przyjąć kolonistów z Dettry i złagodzić tamtejszą presję populacyjną. Zostało ono zaplanowane jako zalążek wspaniałej, przestronnej, cywilizowanej planety-narodu, która mogłaby zostać dodana do gromady światów zamieszkanych przez ludzi. Od początku powinno mieć ono ludność liczoną w setkach tysięcy. Otaczały je pola uprawne, a powietrze nad nim powinno roić się od latających pojazdów, należących do jego mieszkańców.

Calhoun przyglądał się mu przez lornetkę. Nawet tak z tak bliska, nie udało mu się otrzymać przez lornetkę obrazu porównywalnego z tym, który dostarczył teleskop elektronowy z kosmosu, ale widział wystarczająco dużo. Miasto było idealne. Było nienaruszone. Było zupełnie nowe. Lecz nigdzie nie było śladu obecności ludzi. Miasto nie wyglądało na martwe, raczej jakby na zastygłe w bezruchu. Ponad nim nie było żadnych pojazdów latających. Na autostradach nie było ruchu samochodowego. Znalazł jedną prostą drogę, która biegła bezpośrednio wzdłuż linii jego wzroku. Gdyby znajdowały się na niej jakieś samochody, musiałby dostrzec przynajmniej przesuwające się kolorowe plamy, w miarę zbliżania się grup jadących pojazdów. Nie było niczego podobnego.

Zacisnął usta i zaczął badać obszar położony bliżej. Widział zwężające się w perspektywie obszary, na których oczyszczono całe mile kwadratowe ziemi i obsadzono ją ziemską roślinnością. To był skomplikowany proces. Najpierw trzeba było wykarczować ziemię przy pomocy buldożerów, a potem musiały po niej krążyć tam i z powrotem wielkie sterylizatory, zabijające wszystkie miejscowe nasiona i korzenie, a nawet miejscowe bakterie glebowe. Następnie ziemię należało spryskać kulturami mikroskopijnych organizmów wiążących azot i uwalniających fosfor, które normalnie żyją w symbiozie z roślinami ziemskimi. Musiano je wcześniej przetestować pod kątem zdolności do konkurencji z bakteriami tubylczymi. Dopiero potem można było zasiać rośliny ziemskie.

Rosły tam już. Calhoun dostrzegł tę niepowtarzalną zieleń, jaką człowiek jakimś cudem zawsze jest w stanie rozpoznać. To zieleń roślin, których przodkowie żyli na Ziemi i które podążyły za dziećmi starej planety przez pół galaktyki.

— Ten widok na dobrze utrzymane pole — stwierdził Calhoun po dłuższym przyglądaniu się przez lornetkę — pokazuje, jacy ludzie je uprawiali. Przed nami są dobrze zagospodarowane pola, ale nikt ich nie ruszał od tygodni. Bruzdy są proste, a plony zdrowe. Ale zaczynają powoli wykazywać oznaki zaniedbania. Gdyby miasto zostało ukończone i czekało na mieszkańców, polami opiekowano by się do czasu przybycia ludzi. Tu nie wykonuje się żadnych prac pielęgnacyjnych!

Murgatroyd rozglądał się z mądrą miną, jak dostrzegł, że robi to Calhoun.

— Krótko mówiąc — podsumował Calhoun — stało się tu coś, co bardzo mi się nie podoba. Populacja musiała być prawie zerowa, w przeciwnym razie pola byłyby utrzymane w należytym stanie. Jeden człowiek może utrzymać w dobrym stanie mnóstwo gruntu, korzystając z nowoczesnych maszyn. Ludzie nie obsadzają pól z zamiarem ich porzucenia. Miała tu miejsce jakaś znaczna zmiana planów. Wrogość wobec statku Medycznego, to coś więcej niż tylko przypadkowy impuls. — Calhoun nie był zadowolony. Ponieważ ekrany wizyjne na jego statku uległy spaleniu, powrót do Kwatery Głównej nie wchodził w grę. — Ktokolwiek zajmował się tą siecią lądowniczą, nie chce niczyjej pomocy. Nie chce tu nawet żadnych gości. Lecz Służba Medyczna otrzymała powiadomienie, aby przylecieć tu i sprawdzić nową kolonię. Albo ktoś drastycznie zmienił swoje poglądy, albo ludzie odpowiedzialni obecnie za sieć lądowniczą nie są tymi, którzy poprosili o kontrolę stanu zdrowia publicznego.

Murgatroyd stwierdził stanowczo:

— Chee!

— Ten biedny człowiek, którego pochowałem, zdaje się wręcz sugerować coś w tym rodzaju. Przydałaby mu się wcześniejsza pomoc! Może są tu dwie grupy ludzi. Jedna nie chce pomocy i próbowała nas zabić, bo my ją zaoferowaliśmy. Druga grupa jej potrzebuje. Jeśli tak, możemy mieć tu do czynienia z pewnym antagonizmem…

Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na rozległe przestrzenie ciągnące się po sam horyzont. W tej chwili Murgatroyd znajdował się odrobinę za Calhounem. Stanął na tylnych łapach i uważnie patrzył w bok. Osłonił oczy przednią łapą w wyjątkowo ludzki sposób i spoglądał z ciekawością na coś, co zobaczył. Calhoun tego nie zauważył.

— Podrzuć mi jakiś pomysł, Murgatroyd — polecił. — Nawet zupełnie szalony. Mamy martwego człowieka, który nie miał żadnego powodu do tego by umrzeć. Żywych ludzi, którzy nie powinni mieć żadnych powodów, by chcieć rozmaślić nas na ścianach naszego statku Medycznego. Coś uśmierciło tego martwego człowieka. Ktoś próbował uśmiercić nas. Czy istnieje tu jakieś powiązanie?

Murgatroyd wpatrywał się z zaabsorbowaniem w kępę zarośli, położoną jakieś pięćdziesiąt metrów na lewo od niego. Calhoun ruszył w dół zbocza. Murgatroyd pozostał nieruchomo w pozie niezwykłego zaciekawiania, skupiając się na tej kępce krzaków. Calhoun mówił dalej. Był zwrócony plecami w stronę zarośli.

Z krzaków doleciał odgłos głębokiego, melodyjnego brzęknięcia. Ciało Calhouna gwałtownie szarpnęło się pod wpływem uderzenia. Potknął się i upadł, a z pleców sterczał mu trzonek drewnianego pocisku. Leżał bez ruchu.

Murgatroyd jęknął. Pobiegł do miejsca, w którym na ziemi leżał Calhoun. Tańczył w podnieceniu, paplając przenikliwie. Załamywał łapki w ludzkiej rozpaczy. Pociągał Calhouna za ubranie, lecz Calhoun nie odpowiadał.

Z zarośli wyłoniła się dziewczyna. Była wychudzona i kości jej sterczały, a mimo to jej szaty kiedyś były godnej podziwu jakości. Nosiła dziwną i kompletnie prymitywną broń. Podeszła do Calhouna, pochyliła się nad nim i położyła dłoń na drewnianym pocisku, który wystrzeliła mu w plecy.

Nagle się poruszył. Przywarł do niej. Dziewczyna upadła, a on rzucił się na nią gwałtownie, gdy szarpała się pod nim. Ale zaskoczył ją. Przez kilka chwil słychać było tylko głośne sapanie i Murgatroyd przebierał gorączkowo nogami z niepokoju.

Potem Calhoun szybko wstał. Popatrzył na wychudzoną dziewczynę, która próbowała go zamordować z zasadzki. Dyszała teraz straszliwie.

— Naprawdę — zauważył Calhoun profesjonalnym tonem, — jako lekarz powiedziałbym, że powinna pani leżeć w łóżku, a nie włóczyć się i próbować mordować zupełnie obce sobie osoby. Kiedy zaczęły się te kłopoty? Zmierzę pani temperaturę i puls. Murgatroyd i ja mieliśmy nadzieję odnaleźć kogoś takiego jak pani. Jedyny człowiek, którego jak dotąd spotkałem na tej planecie, nie był w stanie mówić.

Zrzucił z ramion plecak i z niecierpliwością wyszarpnął z niego ostry kij. To był pocisk, który został zatrzymany przez pakunek. Wyciągnął swój zestaw laboratoryjny. Całkowicie pochłonięty tym zadaniem, zaczął przygotować się do szybkiego sprawdzenia stanu zdrowia swojej niedoszłej zabójczyni.

Nie był on dobry. Była już wyraźne wychudzona. Oczy rozpaczliwie dyszącej dziewczyny były głęboko zapadnięte i puste. Sapała i sapała. Bez przerwy dysząc, straciła przytomność.

— Tutaj — stwierdził szorstko Calhoun — na scenę wkraczasz ty, Murgatroyd. To rzecz z rodzaju, do których zostałeś stworzony.

Zabrał się energicznie do pracy. Po chwili zauważył:

— Oprócz czujnego układu trawiennego i systemu przeciwciał którego reakcję powoduje nawet najlżejsze muśnięcie włoska, Murgatroyd, powinieneś mieć instynkt psa stróżującego. Nie podoba mi się, że ktoś mógł zbliżyć się tak bardzo, iż w efekcie zostałem postrzelony przez pacjentkę. Rozejrzałbyś się, czy tam w pobliżu nie ma kogoś jeszcze, dobrze?

— Chee — odparł przenikliwie Murgatroyd. Ale nie zrozumiał o co chodzi. Przyglądał się, jak Calhoun wprawnie pobiera małą próbkę krwi z ramienia nieprzytomnej dziewczyny i pieczołowicie umieszcza połowę tej niewielkiej ilości w niemal mikroskopijnej ampułce znajdującej się w zestawie laboratoryjnym. Następnie podszedł w stronę Murgatroyda. Tormal poruszył się, gdy Calhoun zrobił mu zastrzyk. Ale nie bolał go on. Na jego boku znajdowało się niewrażliwe miejsce, w którym nerwy zostały zablokowane, zanim tormal jeszcze skończył pierwszy tydzień życia.

— Mówiąc między nami lekarzami — powiedział Calhoun, — zauważyłeś może, że objawy pacjentki wskazują na anoksję, czyli niedobór tlenu. Co nie ma sensu tutaj, na świeżym powietrzu, gdzie oddycha się całkiem wygodnie. Kolejny paradoks, Murgatroyd! Ale mamy też sytuację alarmową. Jak złagodzić anoksję, kiedy nie ma się tlenu?

Popatrzył na nieprzytomną dziewczynę. Widać było po niej ten sam rodzaj wychudzenia, który zauważył u martwego mężczyzny, na polu, kilka mil wcześniej. Pacjenci cierpiący na określoną chorobę często nabierają pewnego dziwnego podobieństwa do siebie. Wyglądało na to, że ta dziewczyna znajduje się we wcześniejszym stadium tego, co zabiło urzędnika państwowego na polu kukurydzy. Umarł z głodu, trzymając w ręku częściowo zjedzony pokarm. Próbowała zabić Calhouna, tak samo jak nieznane mu osoby w mieście próbowały zabić Calhouna i Murgatroyda na statku Medycznym, jakieś czterdzieści tysięcy mil w kosmosie. Ale jej sprzęt wykorzystany do zabójstwa nie dorównywał sprzętowi operatorów sieci lądowniczej. Nie należała do ich grupy. Może jest uciekinierką od nich.

Calhoun połączył te wszystkie rzeczy w jedną całość. Potem zaklął w nagłym pełnym goryczy gniewie. Urwał nagle, obawiając się, że usłyszała.

Nie usłyszała. Nadal była nieprzytomna.

III

„Ten wzorzec postępowania ludzi, luźno określany „szacunkiem do siebie samego”, o dziwnej właściwości ograniczania się do jednostek, polega na rezygnacji tych jednostek z rozgłaszania nieszczęść, czyli niekorzystnych zdarzeń losowych, które jak wynika z rachunku prawdopodobieństwa muszą mieć miejsce. Z drugiej strony, ten sam wzorzec ludzkiego postępowania związany jest z tendencją do szerokiego rozpowszechniania i dzielenia się w grupie informacją o korzystnych zdarzeniach losowych. Tak więc, ci, którzy praktykują „szacunek do siebie samego” zwiększają matematyczne prawdopodobieństwo wytworzenia się cywilizacji, w której zasady prowadzące do tego typu zachowań ulegają zanikowi. Społeczeństwo dekadenckie ściąga zatem na siebie pecha, na zasadzie działania reguł prawdopodobieństwa*…”*

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Wracała do świadomości bardzo powoli. Zupełnie jakby budziła się z kompletnie wyczerpującego snu. Kiedy po raz pierwszy otworzyła oczy, jej spojrzenie błąkało się niewyraźnie, aż napotkało Calhouna. Wtedy oczy te wypełniła pełna goryczy i pogardy nienawiść. Jej dłoń powędrowała niemrawo do wiszącego u pasa noża. To nie była dobra broń. Był to nóż z jakiegoś kompletu sztućców stołowych, a jego rączka była o wiele za wąska, aby umożliwić dobry chwyt, potrzebny do tego by kogoś zabić. Calhoun nachylił się i odebrał jej nóż. Był on niezbyt umiejętnie zaostrzony w szpic.

— Jako pani lekarz — powiedział jej — muszę pani zabronić dźgania mnie. Nie byłoby to dla pani dobre. — Potem dodał: — Proszę posłuchać, nazywam się Calhoun. Przybyłem z Kwatery Głównej Sektora Medycznego, aby przeprowadzić tutaj planetarną inspekcję zdrowotną, a kilku chłopców w mieście najwyraźniej nie chciało, żeby statek Medyczny wylądował na planecie. Więc próbowali mnie zabić, tłukąc moją skromną osobą po wszystkich ścianach mojego statku, przy pomocy pola sieci lądowniczej. Wykonałem praktycznie lądowanie awaryjne i teraz muszę wiedzieć, co się tu dzieje.

W jej oczach pozostała płonąca nienawiść, ale pojawił się w nich cień wątpliwości.

— Oto — mówił dalej Calhoun — jest moja karta identyfikacyjna.

Pokazał jej bardzo oficjalne dokumenty, które dawały mu ogromną władzę – w sytuacji, gdyby rząd planetarny skłonny był mu jej udzielić.

— Oczywiście — dodał jeszcze — każde papiery można ukraść. Ale mam świadka, że jestem tym, za kogo się podaję. Słyszała pani o tormalach? Murgatroyd za mnie poręczy.

Zawołał swojego małego, futrzastego towarzysza. Murgatroyd podszedł i uprzejmie podał jej małą, chwytną łapkę. Oznajmił „Chee" swym przenikliwym głosikiem, a następnie poważnie chwycił dziewczynę za nadgarstek, naśladując ostatnią czynność Calhouna polegającą na sprawdzeniu jej pulsu.

Calhoun obserwował to wszystko. Dziewczyna wpatrywała się w Murgatroyda. Lecz cała galaktyka słyszała o tormalach. Znaleziono je na jednej z planet w regionie Deneb. Dały się zabrać jako zwierzątka do towarzystwa i wykazywały niezwykłą odporność na choroby, które ludzie często rozsiewali podczas swoich międzygwiezdnych podróży. Jakiś zapomniany już badacz Służby Medycznej przeprowadził badania zdolności tormali do życia w kontakcie z ludźmi. Dokonał odkrycia, które uczyniło je zbyt cennymi, aby marnować ich życie na zwykłe towarzystwo. Wciąż było zbyt mało przedstawicieli gatunku Murgatroyda, aby zaspokoić potrzeby ludzkości, toteż nie-lekarze musieli wyrzec się ich wyraźnie czarującego towarzystwa. Zatem Murgatroyd był jednocześnie jego kolejną kartą identyfikacyjną.

Dziewczyna powiedziała słabym głosem:

— Gdyby tylko przybył pan wcześniej… ale teraz jest już za późno. Ja… myślałam, że przyszedł pan z miasta.

— Właśnie tam zmierzałem — odparł Calhoun.

— Zabiją pana.

— Tak — zgodził się z nią Calhoun, — pewnie tak będzie. Ale w tej chwili jest pani chora, a ja jestem lekarzem ze Służby Medycznej. Podejrzewam, że wybuchła tu epidemia jakiejś choroby i z bliżej nieokreślonego powodu ludzie w mieście nie chcą, żeby Służba Medyczna się o tym dowiedziała. Wygląda na to, że pani to złapała, cokolwiek to jest. Poza tym, to z czego mnie pani postrzeliła, to była bardzo dziwna broń.

Dziewczyna wyjaśniła ponuro:

— Jeden z naszej grupy miał takie hobby. Starożytna broń. Miał łuki i strzały, a do pana strzelałam z kuszy. Nie wymaga ona energii. Nawet chemicznych materiałów wybuchowych. Więc kiedy uciekaliśmy z miasta, odważył się wrócić i uzbroił nas najlepiej, jak tylko mógł.

Calhoun skinął głową. Odrobina niezobowiązującej rozmowy jest zawsze przydatna na początku wywiadu z pacjentem. Ale to, co powiedziała, nie było wcale takie błahe. Grupa ludzi uciekła z miasta. Potrzebowali broni i jeden z nich wrócił po nią do miasta. Wiedział, gdzie znaleźć rekonstrukcje starożytnych śmiercionośnych urządzeń - hobbystyczną kolekcję. Brzmiało to jakby byli to ludzie ze służby cywilnej. Oczywiście nie było już klas społecznych o różnych poziomach dochodowych. W każdym razie nie na większości planet. Istniały jednak grupy społeczne oparte na podobnych gustach, które prowadziły należące do nich osoby do podobnych zawodów i dalej prowadziły do naturalnych sympatii między nimi. Calhoun teraz był w stanie ją umiejscowić.

Przypomniał sobie dawno przestarzały termin „wyższa klasa średnia", który nie miał już żadnego znaczenia w ekonomii, lecz miał pewne znaczenie w medycynie.

— Chciałbym poznać historię pacjentki — zagaił konwersacyjnie. — Pani nazwisko?

– Helen Jons — odparła ze znużeniem.

Uniósł mikrofon swojego kieszonkowego dyktafonu, żeby zarejestrować jej odpowiedzi. Zawód: statystyk. Należała do personelu biurowego niezbędnego w czasie budowy miasta. Po zakończeniu prac budowlanych większość robotników wróciła na macierzystą planetę Dettra, lecz pracownicy biurowi zostali, aby wszystko zorganizować, gdy przybędą koloniści.

— Zatrzymajmy się — przerwał jej Calhoun. — Była pani członkiem personelu biurowego, który pozostał w mieście, aby zaczekać na kolonistów. Ale chwilę temu powiedziała mi pani, że uciekła z miasta. Jest tam jeszcze paru ludzi, przynajmniej w pobliżu sieci lądowniczej. Mam powody żeby być tego pewnym. Czy oni też byli częścią personelu biurowego? Jeśli nie, to skąd się tam wzięli?

Pokręciła słabo głową.

— Kim oni są? — powtórzył.

— Nie wiem — odparła ponuro. — Przybyli po zarazie.

— Och — skomentował jej słowa Calhoun. — Proszę mówić dalej. Kiedy pojawiła się zaraza? I jak?

Opowiadała dalej słabym głosem. Zaraza pojawiła się wśród robotników z ostatniego transportu oczekującego na powrót na macierzystą planetę. W mieście było wówczas około tysiąca ludzi, najróżniejszych klas i zawodów. Choroba pojawiła się najpierw wśród tych z nich, którzy zajmowali się rozległymi polami uprawnymi.

Była już mocno rozpowszechniona, zanim zaczęto podejrzewać jej istnienie. Nie występowały żadne wyraźne wczesne objawy, lecz osoby dotknięte chorobą odczuwały spadek energii, stawały się apatyczne i niemrawe. Apatia objawiła się najpierw zaprzestaniem narzekań i kłótni między robotnikami. Normalni, zdrowi ludzie są agresywni. Będą się między sobą kłócić, z założenia. Tymczasem tutaj kłótnie ustały. Ludzie nie mieli na nie energii.

Później pojawiła się duszność. Na początku nie było to oczywiste. Ludzie, którym brakowało energii do kłótni, mniej się wysilali i przez to łatwiej się męczyli. To jeden z członków personelu medycznego, pomimo przejściowego zmęczenia zaczął się niecierpliwić i odkrył, że bez żadnej przyczyny ciężko dyszy. Zrobił sobie badanie metabolizmu, bo wydało mu się podejrzane, że objawy przybrały tak ekstremalny charakter. Jego tempo przemiany materii stało się zdumiewająco niskie.

— Zatrzymajmy się jeszcze raz — polecił Calhoun. — Jest pani statystykiem, ale mówi pani o medycynie. Jak to?

— Kim — wyjaśniła ze zmęczeniem dziewczyna — był członkiem personelu medycznego. Byłam… miałam zamiar za niego wyjść.

Calhoun skinął głową.

— Proszę kontynuować.

Wyglądało na to, że musi zebrać siły, aby choćby rozmawiać. Dalej było już niewiele. Duszność wśród ofiar zarazy postępowała. Po pewnym czasie przeraźliwie dyszeli nawet z wysiłku związanego z wstawaniem na nogi. Chodzenie, choć powolne, można było osiągnąć jedynie kosztem szaleńczego dyszenia. Po pewnym czasie już tylko leżeli bez ruchu. Nie byli w stanie zebrać energii, żeby choćby się poruszyć. Następnie zapadali w stan braku świadomości i umierali.

— Co o tym wszystkim myśleli lekarze? — spytał Calhoun.

— Kim mógłby panu powiedzieć — odparła wyczerpana dziewczyna. — Lekarze pracowali gorączkowo. Próbowali wszystkiego - wszystkiego! Byli w stanie wywołać objawy u zwierząt doświadczalnych, ale nie potrafili wyizolować zarazka ani niczego, co mogłoby spowodować chorobę. Kim powiedział, że nie mogą uzyskać czystej kultury. To było niewiarygodne. Żadna technika nie pozwoliła na wyizolowanie przyczyny objawów, a mimo to plaga była zaraźliwa. To okropne!

Calhoun skrzywił się. Zawsze możliwe było pojawienie się nowego mechanizmu chorobotwórczego, ale było to co najmniej mało prawdopodobne. Jednak coś, czego nie udało się wyśledzić standardowymi metodami bakteriologicznymi, z pewnością było zadaniem dla Służby Medycznej. Lecz w mieście byli jacyś ludzie, którzy nie chcieli, aby Służba Medyczna wtrącała się do sprawy. Dziewczyna wspomniała o nich raz, gdy opowiadała o ucieczce z miasta, i drugi raz, gdy powiedziała, że ktoś zakradł się z powrotem po broń. I użyła na nim swej broni, sądząc, że pochodzi z miasta. Niezwykły był także sam opis zarazy.

Jej czynnik chorobotwórczy był w stanie skryć się przed ludźmi, czego nie był w stanie dokonać żaden inny mikroorganizm. Była to zdolność, która nie dawała żadnej korzyści zarazkowi choroby w stanie czysto naturalnym. Zarazki chorobotwórcze z reguły nie napotykają laboratoriów bakteriologicznych na tyle często, że musiałyby się przystosowywać, do krycia się przed nimi. Cecha niewidoczności pod mikroskopem elektronowym nie byłaby pomocna dla żadnego przeciętnego zarazka czy drobnoustroju. Nie było powodu, dla którego taka cecha miałaby powstać.

Ale co więcej, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć powstrzymywać pracownika Służby Medycznej, takiego jak Calhoun, przed zbadaniem zarazy? Kiedy zarażeni ludzie uciekli z miasta, aby umrzeć w dziczy, dlaczego pozostali w mieście mieliby próbować niszczyć statek Medyczny, który mógłby pomóc położyć kres pochodowi śmierci? Zwykle ludzie w środku epidemii boją się, że się zarażą. Tak samo chętnie przyjęliby pomoc Służby Medycznej, jak ci już zarażeni. Co więc się tutaj działo?

— Powiedziała pani, że w mieście było około tysiąca ludzi — zauważył Calhoun. — Zajmowali się uprawami i czekali na przylot stałych mieszkańców. Co się stało, gdy uznano, że macie do czynienia z zarazą?

— Z Dettry Dwa przybył pierwszy statek z emigrantami — powiedziała pozbawionym nadziei tonem dziewczyna. — Nie sprowadziliśmy ich na ziemię przy pomocy sieci lądowniczej. Zamiast tego opisaliśmy im zarazę. Ostrzegliśmy ich. Poddaliśmy się kwarantannie, podczas gdy nasi lekarze próbowali zwalczyć chorobę. Statek z nowymi osadnikami wrócił na Dettrę bez lądowania.

Calhoun skinął głową. To było normalne.

— Potem przyleciał jakiś inny statek. Zostało nas przy życiu może około dwustu osób. Ponad połowa z nas wykazywała już oznaki zarażenia. Przybył ten drugi statek. Wylądował na rakietach awaryjnych, ponieważ nie pozostał nikt, kto wiedziałby, jak obsługiwać sieć.

Głos jej nieco zadrżał, wtedy gdy opowiadała o lądowaniu dziwnego statku na terenie sieci lądowniczej miasta, które umierało, choć tak naprawdę nigdy nie zostało obudzone do życia. Nie było tłumu ludzi mogących przywitać statek. Ci z mieszkańców, którzy jeszcze nie zostali dotknięci chorobą, opuścili miasto i rozproszyli się jak najszerzej, mając nadzieję, że unikną zarażenia izolując się w nowych i niezainfekowanych miejscach schronienia. Nie brakowało jednak środków łączności. Prawie wszyscy, którzy przeżyli, obserwowali lądowanie statku przez ekrany wizyjne w budynku sterowni bezużytecznej wówczas sieci.

Statek dotknął ziemi. Wyszli z niego jacyś ludzie. Nie wyglądali na lekarzy. Nie zachowywali się tak jak oni. Natychmiast wyłączono ekrany wizyjne w budynku sterowni. Nie udało się przywrócić z nimi łączności. Odizolowane grupy ludzi rozmawiały więc z podnieceniem między sobą przez własne ekrany wizyjne. Wymieniali wiadomości pełne rozpaczliwej nadziei. W pewnej chwili w mieszkaniu, którego lokator był w trakcie takiej rozmowy z grupą kolegów znajdujących się w daleko położonym budynku, pojawili się ludzie z dopiero co przybyłego statku. Zostawił on włączony wizifon i poszedł przyjąć i przywitać ludzi, którzy – jak miał nadzieję – byli przynajmniej naukowcami, przybyłymi tutaj aby znaleźć przyczynę choroby i zakończyć epidemię.

Widzowie przy drugiej płycie wizifonu z niecierpliwością spoglądali do jego mieszkania. Zobaczyli wchodzącą grupę nowoprzybyłych. Widzieli, jak celowo, z zimną krwią zamordowali oni ich przyjaciela oraz pozostałych przy życiu członków jego rodziny.

Dotknięci zarazą lub po prostu przerażeni ludzie - mieszkający w parach lub trójkach, mocno rozproszonych po całym mieście - porozumiewali się w pośpiesznej desperacji. Niewykluczone, że zaszła jakaś pomyłka, nieporozumienie, doszło do jakiegoś nieautoryzowanego działania. Ale to nie był błąd. Choć początkowo coś takiego było nie do pomyślenia, zaczęło rozpowszechniać się przekonanie, że morderstwo to było dowodem na to, iż zaraza na Maris III miała zostać zakończona w sposób, jakby była to epidemia wśród zwierząt. Ci, którzy zachorowali i ci, którzy byli na chorobę narażeni, mieli zostać zabici, aby zapobiec jej rozprzestrzenianiu się wśród przybyszy.

Bez absolutnych dowodów trudno było zaakceptować przekonanie o tak potwornym charakterze. Ale gdy zapadła noc, publiczna sieć zasilania w mieście została wyłączona i możliwość łączności zniknęła. Osobliwy spokój typowy dla zachodów słońca na Maris III, wypełnił miasto absolutną ciszą - z wyjątkiem krzyków mordowanych, które odbijały się echem wśród niezliczonych pustych, niezamieszkanych budynków.

Niewielka część ocalałych z zarazy, uciekła w nocy. Uciekali pojedynczo lub w grupach, niosąc ze sobą zarazę. Niektórzy z nich nieśli członków swoich rodzin, którzy byli zbyt słabi, aby chodzić. Inni pomagali już

skazanym na zagładę żonom, przyjaciołom lub mężom w wydostaniu się na otwartą przestrzeń. Ucieczka nie mogła uratować im życia. Ona tylko dawała możliwość zapobieżenia ich zabicia. Ale jakoś wydawało się, że warto spróbować.

— To — powiedział Calhoun — nie jest historia pani własnych losów. Kiedy rozwinęła się u pani choroba, niezależnie od tego, co to za infekcja?

— Nie wie pan, co to jest? — spytała pozbawionym nadziei tonem Helen.

— Jeszcze nie — przyznał Calhoun. — Mam bardzo mało informacji. Próbuję uzyskać dalsze.

Nie wspomniał o informacjach zebranych od zmarłego kilka mil dalej na polu kukurydzy mężczyzny.

Dziewczyna opowiedziała o swoich losach. Pierwszym objawem choroby była apatia. Była w stanie się z niej wydobyć, podejmując wysiłek, ale postępowała ona coraz bardziej. Z dnia na dzień potrzebny był coraz większy i bardziej gwałtowny wysiłek, aby w ogóle zwrócić na cokolwiek uwagę, a gdy próbowała coś robić, zauważała coraz większą słabość organizmu. Nie czuła żadnego dyskomfortu, nawet głodu czy pragnienia. Musiała jednak zmuszać się do coraz silniejszej motywacji, żeby w ogóle uświadomić sobie potrzebę zrobienia czegokolwiek.

Objawy były wyjątkowo podobne do tych, jakie występują u ludzi zbyt długo przebywających bez tlenu, na zbyt dużej wysokości. Jeszcze bardziej przypominały one te obserwowane u ludzi lecących w samolocie nie zapewniającym stałego ciśnienia, którym odcięto dopływ tlenu. Tacy ludzie straciliby przytomność, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że ją tracą, ale działo się to w ciągu kilku minut. Tutaj proces ten był znacznie powolniejszy. To była kwestia tygodni. Lecz miał on taki sam charakter.

— Zostałam zarażona, zanim uciekliśmy — opowiadała ponuro Helen. — Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Teraz już wiem, że pozostało mi jeszcze parę dni na myślenie i działanie, jeśli wystarczająco mocno się postaram. Ale z każdym dniem będzie tego wszystkiego coraz mniej. Potem nie będę w stanie już nawet spróbować.

Calhoun przyglądał się, jak niewielki rejestrator przewija wielokanałową taśmę z jednej szpuli na drugą, w miarę jak mówiła.

— Miała pani wystarczająco dużo energii, aby spróbować mnie zabić — zauważył.

Popatrzył na jej broń. Na końcu rury podobnej do lufy sportowego karabinu energetycznego znajdowała się, umieszczona poprzecznie, łukowata stalowa sprężyna. Teraz dostrzegał uchwyt i mechanizm zapadkowy, za pomocą którego napinano sprężynę, gromadząc energię potrzebną do wyrzucenia pocisku. Zapytał:

— Kto naciągnął pani tę kuszę?

Helena zawahała się.

— Kim… Kim Walpole — powiedziała w końcu.

— Nie jest pani obecnie samotnym uchodźcą? Czy inni z pani grupy wciąż żyją?

Znów się zawahała, a potem powiedziała:

— Część z nas zrozumiała, że przebywanie osobno, nie ma specjalnego znaczenia. I tak nie mogliśmy mieć nadziei na przeżycie. Już byliśmy zarażeni. Kim jest jednym z nas. On jest najsilniejszy. On naciągnął dla mnie tę kuszę. Broń miał już wcześniej i mógł ją wykorzystać.

Calhoun zadawał pozornie niezobowiązujące pytania. Opowiedziała mu o grupie uciekinierów, którzy pozostali razem, ponieważ wszyscy byli już skazani na zagładę. Było ich jedenaścioro. Dwoje już nie żyło. Troje innych pozostawało w śmiertelnym letargu. Nie można było ich nakarmić. Umierali. Najsilniejszy był Kim Walpole, który odważył się wrócić do miasta, aby przynieść broń dla reszty. To on im przewodził, a teraz nadal był najsilniejszy i - jak uważała dziewczyna - najmądrzejszy z nich wszystkich.

Czekali na śmierć. Jednak nowi przybysze na planecie - jak wierzyli, najeźdźcy - nie mieli zamiaru pozwolić im w spokoju oczekiwać śmierci. Z miasta wyruszały grupy łowców, na ich poszukiwania.

— Pewnie — stwierdziła beznamiętnie dziewczyna — po to by palić nasze ciała, w celu zapobieganiu zarażeniom. Zabijają nas, żeby oni nie musieli czekać na śmierć. Lecz nam wydało się to tak okropne, że poczuliśmy, iż musimy bronić naszego prawa do naturalnej śmierci. Dlatego właśnie strzelałam do pana. Nie powinnam, ale…

Przerwała bezradnie. Calhoun skinął głową.

Uciekinierzy pomagali sobie obecnie po prostu dlatego, aby uniknąć zabicia. Zbierali się wyczerpani po zapadnięciu nocy, a ci, którzy byli najsilniejsi, robili, co mogli dla pozostałych. W ciągu dnia ci, którzy byli w stanie jeszcze chodzić, rozpraszali się po oddzielnych kryjówkach, aby w przypadku wykrycia jednego z nich, pozostali mogli jeszcze uniknąć upokorzenia gwałtownej śmierci. Nie mieli żadnego silniejszego motywu. Próbowali po prostu umrzeć z godnością i uniknąć zaszlachtowania jako chore bestie. Co było zgodne z tradycją i podejściem akceptowanym przez Calhouna. Tacy ludzie wiedzieli coś o prawdopodobieństwie w postępowaniu człowieka. Tyle że, oni nazwaliby to etyką. Lecz obcy - najeźdźcy - należeli do innego rodzaju ludzi. Prawdopodobnie przybyli z innej planety.

— Nie podoba mi się to — oznajmił chłodno Calhoun. — Chwileczkę.

Podszedł do Murgatroyda. Murgatroyd zdawał się być odrobinę oklapły. Calhoun sprawdził jego oddech i osłuchał mu serce. Murgatroyd poddał się badaniu, mówiąc tylko „Chee”, gdy Calhoun położył go na ziemi.

— Pomogę pani w dotarciu na miejsce spotkania — powiedział nagle Calhoun. — Murgatroyd złapał teraz zarazę. Zraziłem go nią, a on szybko reaguje. Chciałbym też zobaczyć pozostałych członków pani grupy jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Dziewczynie udało się właśnie stanąć na nogi. Już samo mówienie ją męczyło, lecz odważnie, choć ze znużeniem, ruszyła pod górę po zboczu wzgórza. Calhoun podniósł jej dziwną broń i przyjrzał jej się z zamyśleniem. Naciągnął ją, tak jak to najwyraźniej powinno być zrobione. Podniósł wystrzelony przez dziewczynę pocisk i umieścił go na swoim miejscu. Ruszył za dziewczyną, zabierając broń. Murgatroyd zajął tyły.

Po pokonaniu ćwierci mili dziewczyna zatrzymała się i chwiejnie chwyciła się pnia smukłego drzewa. Było oczywiste, że musi odpocząć lecz bała się usiąść z powodu desperackiego wysiłku, jakiego wymagało będzie od niej wstanie na nogi.

— Ja panią poniosę — oznajmił stanowczo Calhoun. — Pani będzie mi wskazywać drogę.

Wziął ją na ręce i pomaszerował dalej. Była lekka. Nie była dużą dziewczyną, ale powinna ważyć więcej. Calhoun nadal bez trudu niósł również osobliwą, zabytkową broń.

Murgatroyd podążał za Calhounem, który wspiął się na niewielkie wzniesienie na zboczu większego wzgórza i zszedł w dół do bardzo wąskiego wąwozu. Przeciskał się przez zarośla, aż dotarł do małej otwartej przestrzeni, na której zbudowano schronienia dla kilkunastu ludzi. Były zupełnie prymitywne - po prostu szałasy, o dachach z liściastych gałęzi rozłożonych na konstrukcjach z patyków. Ale oczywiście nie były one przeznaczone do stałego użytku. Miały jedynie chronić ludzi dotkniętych zarazą, czekających na śmierć.

W tym miejscu jednak doszło do katastrofy. Calhoun zauważył to, zanim spostrzegła to dziewczyna. W szałasach znajdowały się posłania z liści. Leżały na nich trzy ciała. Byli to ci uchodźcy, którzy wpadli już w śmiertelną śpiączkę, która - jak opisała to dziewczyna - była przyczyną śmierci człowieka, znalezionego przez Calhouna zmarłego z głodu człowieka, otoczonego nadającymi się do jedzenia roślinami. Lecz po chwili Calhoun dostrzegł coś więcej. Szybko przekręcił dziewczynę w ramionach, tak aby nie widziała co się stało. Położył ją delikatnie na ziemi i powiedział:

— Leż spokojnie. Nie ruszaj się. Nie odwracaj się.

Podszedł aby się upewnić. Chwilę później wpadł we wściekłość. Praca Calhouna polegała na walce ze śmiercią i chorobami we wszelkich postaciach, a więc traktował swój zawód bardzo poważnie. Są oczywiście porażki, z którymi lekarz musi się pogodzić, choć niechętnie. Lecz nikt w tej branży, a już zwłaszcza lekarz ze statku Medycznego, nie mógł nie wpaść w furię na widok ludzi, którzy powinni być jego pacjentami, a którzy leżeli nieruchomo z poderżniętymi gardłami.

Przykrył ich gałęziami. Wrócił do Heleny.

— To miejsce znalazł ktoś z miasta — oznajmił jej szorstko. — Ludzie będący w śpiączce zostali zamordowani. Radzę pani, nie patrzeć. Przypuszczam, że ktokolwiek to zrobił, spróbuje teraz wyśledzić resztę z waszej grupy.

Ruszył ponuro przez małą niezarośniętą polanę, przeszukując ziemię w poszukiwaniu śladów stóp. W większości miejsc rosło gęste poszycie, lecz na skraju polany znalazł jeden zestaw ciężkich śladów prowadzących dalej. Położył własną stopę obok odcisku i oparł się na niej całym ciężarem ciała. Jego stopa dawała wyraźnie mniejsze zagłębienie. Ten trop pozostawił mężczyzna ważący więcej niż Calhoun. Nie należał zatem do grupy ofiar zarazy.

Znalazł kolejny zestaw takich śladów, wracając na polanę w innym miejscu.

— Tylko jeden człowiek — zauważył lodowato. — Nie uważa, by musiał mieć się na baczności, ponieważ personel administracyjny miasta - taki, jaki został tutaj gdy uderzyła zaraza - zwykle nie ma żadnej broni w swym posiadaniu. I jest pewien, że wszyscy jesteście na tyle słabi, żebyście nie stanowili dla niego niebezpieczeństwa.

Helena nie zbladła. Już wcześniej była blada. Patrzyła tylko tępym wzrokiem na Calhouna. Spojrzał ponuro w niebo.

— Za godzinę będzie zachód słońca — stwierdził z wściekłością. — Jeśli intencją przybyszów - najeźdźców - jest palenie ciał wszystkich ofiar zarazy, on wróci tutaj, aby pozbyć się tej trójki. Nie zrobił tego wcześniej, by dym nie ostrzegł reszty. Ale wie, że w schroniskach przebywało więcej niż trzy osoby. Wróci tu!

Murgatroyd powiedział: „Chee!" w dziwnie oszołomiony sposób. Stał na czworakach i patrzył na swoje łapki, jakby nie należały do niego. Dyszał.

Calhoun go zbadał. Oddech był wyraźnie przyśpieszony. Akcja serca podobna jak u dziewczyny o imieniu Helen. Temperatura jego ciała nie wzrosła, lecz spadła. Calhoun oznajmił ze skruchą:

— Ty i ja, Murgatroyd, nie jest nam łatwo w naszym zawodzie. Ale ja mam teraz gorzej. Ty nie musisz stosować wobec mnie nieczystych zagrań, a ja musiałem ci to zrobić!

Murgatroyd powiedział ponownie: „Chee!" i jęknął. Calhoun położył go delikatnie na posłaniu z liści, na którym nie leżał nikt z zabitych.

— Leż spokojnie! — polecił. — Wysiłek jest dla ciebie niewskazany.

Odszedł. Murgatroyd jęknął cicho, ale leżał bez ruchu, jakby był bardzo wyczerpany.

— Mam zamiar panią przenieść — powiedział Calhoun dziewczynie, — tak żeby nie było pani widać, gdyby wrócił ten człowiek z miasta. A ja muszę przez jakiś czas trzymać się gdzieś na boku, bo inaczej pani przyjaciele pomylą mnie z nim. Liczę na to, że później pani za mnie poręczy. Zasadniczo przygotowuję zasadzkę. — Potem wyjaśnił z irytacją: — Nie ośmielę się ruszyć za nim, bo mógłby nie cofać się po własnych śladach i wrócić tu inną drogą.

Wziął dziewczynę i umieścił ją w miejscu, w którym widziała całą polanę, ale ona sama nie była widoczna. Potem usiadł w nieco większej odległości za nią. Był bardzo niezadowolony ze sposobu, jaki musiał wybrać. Nie mógł wyruszyć za mordercą i zostawić Helen oraz Murgatroyda bez opieki, nawet jeśli miałoby to oznaczać, że morderca zdoła odnaleźć jakąś kolejną ofiarę, ponieważ nikt za nim nie poszedł. W każdym razie życie Murgatroyda było w tej chwili ważniejsze niż życie jakiejkolwiek istoty ludzkiej na Maris III. Od niego zależało wszystko.

Lecz, mimo to, Calhoun wcale nie był z siebie zadowolony.

Wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć normalnych odgłosów wydawanych przez żywe, dzikie istoty. Słychać było trzaski, które, jak później dowiedział się Calhoun, wydawane były przez pełzające stworzenia, niewiele różniące się od ziemskich żółwi lądowych. Z gardeł miniaturowych zwierzątek, które można z grubsza zakwalifikować do ptaków, dobiegało głębokie, basowe buczenie. Słychać było odgłosy ćwierkania, będącego krzykiem stworów, które można by było w

przybliżeniu określić jako dzikie świnie, tyle że one wcale nimi nie były. Słońce Maris zeszło nisko ponad wierzchołki najbliższej położonych wzgórz, a następnie zaczęło kryć się za nimi, zaś całą okolicę spowiła dziwna, wyczekująca cisza. O zachodzie słońca na Maris III następuje osobliwy okres, kiedy stworzenia dzienne już zamilkły, a stworzenia nocne nie są jeszcze aktywne. Nic się nie poruszało. Nic ani nie drgnęło. Nawet te niesamowite liście były nieruchome.

To właśnie tę ciszę zapadającego półmroku złamały ciche i przerywane szmery oraz szelesty. W tej samej chwili rozległ się cichutki szmer ludzkiej mowy. Z zarośli wyszedł wysoki, wychudzony młodzieniec, podtrzymując żałośnie słabego starca, ledwo będącego w stanie iść. Calhoun wykonał ostrzegawczy gest, gdy Helen otworzyła usta, żeby się odezwać. Powoli poruszająca się para weszła na polanę, młody człowiek poruszał się ze zmęczeniem, starzec chwiał się ze słabości pomimo jego pomocy. Młodszy pomógł starszemu usiąść. Stał ciężko dysząc.

Po chwili nadeszli kobieta i mężczyzna, pomagający sobie nawzajem. Wylewająca się zza wzgórz poświata słoneczna ledwie wystarczała, by oświetlić ich twarze, wychudzone i blade.

Z innego otworu w zaroślach chwiejnie wyszła piąta słaba postać. Ten człowiek miał ciemną brodę, i był postawnym, potężnym mężczyzną. Lecz teraz zaraza ciążyła na nim jak brzemię.

Przybysze powitali się apatycznie. Nie odkryli jeszcze tych spośród siebie, którzy zostali zamordowani.

Wychudzony młodzieniec zebrał siły i ruszył w stronę schronienia, gdzie Calhoun zakrył gałęziami straszny widok.

Murgatroyd jęknął.

Rozległy się kolejne szelesty, lecz w tych nie było niczego słabego. Gałęzie zostały mocno rozsunięte na boki i na niewielką otwartą przestrzeń wkroczył pewny siebie mężczyzna. Był dobrze zbudowany, a barwa jego twarzy była idealnie zdrowa. Calhoun automatycznie ocenił go jako człowieka cieszącego się wyjątkowo dobrym zdrowiem, z lekką nadwagą, należącego do typu fizycznego, który nie cierpi na żadne problemy psychosomatyczne, ponieważ żyje ściśle i przyjemnie w teraźniejszości.

Calhoun podniósł się. Wyszedł na oświetloną gasnącym światłem polanę w chwili, gdy krzepki nieznajomy uśmiechnął się szeroko do grupy dotkniętych zarazą na wpół szkieletów.

— Przyszliście z powrotem, co? — powiedział przyjaźnie nieznajomy. — Oszczędziło mi to wielu kłopotów. Załatwię to za jednym razem.

Ze spokojną pewnością sięgnął po wiszący u biodra blaster.

— Rzuć to! — warknął zza jego pleców Calhoun. — Rzuć to!

Krzepki mężczyzna odwrócił się. Zobaczył Calhouna z uniesioną kuszą, wycelowaną w niego. Było ciągle wystarczająco dużo światła, by widzieć, że nie był to karabin energetyczny - a właściwie nie była to żadna broń, jakiej normalnie używaliby ludzie współcześni. Ale o wiele ważniejszy dla krzepkiego mężczyzny był fakt, że Calhoun nosił na sobie mundur i najwyraźniej cieszył się dobrym zdrowiem.

Z profesjonalną czujnością i sprawnością wyszarpnął z kabury pistolet energetyczny.

Zaś Calhoun wystrzelił do niego z kuszy. I tak się złożyło, że go zastrzelił.

IV

„Statystycznie należy przyznać, że żadne ludzkie działanie nie pozostaje bez konsekwencji dla człowieka, który je podejmuje. Ponownie należy przyznać, że statystycznie konsekwencje działania, z dużym prawdopodobieństwem pokrywają się z pewnym ogólnym wzorcem działań danego typu. Działanie brutalne, na przykład, związane jest z dużym prawdopodobieństwem wystąpienia gwałtownych konsekwencji, a ponieważ przynajmniej część konsekwencji czynu musi dotknąć osobę która go popełniła, człowiek postępując gwałtownie naraża się na prawdopodobieństwo, że przypadkowe konsekwencje, które go dotkną, jeśli będą niekorzystne, będą także gwałtownie."

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Murgatroydowi wstrzyknięto próbkę krwi Helen jakieś trzy godziny przed zachodem słońca. Ale jedną z cenniejszych cech genetycznych rasy tormali był fakt, że reagowała ona na infekcję bakteryjną tak samo, jak istota ludzka reaguje na lekarstwo. Leki przyjmowane na skórę człowieka rzadko mają działanie ogólnoustrojowe. Leki podawane na błonę śluzową wnikają lepiej. Leki przyjmowane doustne - leki połykane - mają jeszcze większą skuteczność. Jednakże najsilniejsze działanie wykazują substancje wstrzykiwane do tkanek lub do krwiobiegu. Centygram prawie każdego leku podanego w zastrzyku będzie miał działanie zbliżone do grama, przyjętego doustnie. Działa on natychmiastowo i nie ulega modyfikacji pod wpływem soków żołądkowych.

Murgatroydowi wstrzyknięto w miejsce na boku, w którym nie czuł bólu, pół centymetra sześciennego krwi dziewczyny. Zawierała ona nieznaną przyczynę zarazy na Maris III. Jej działanie po wstrzyknięciu było nieporównywalnie silniejsze niż miałby ten sam materiał zakaźny rozmazany na skórze lub połknięty. W obu ostatnich wypadkach nie przyniosłoby to oczywiście żadnego skutku, ponieważ tormale były pod każdym względem odporne na zwykłe zarazy. Podobnie, jak miały wbudowaną odpowiednią jednostkę w przewodzie pokarmowym, powodującą natychmiastowe odrzucenie szkodliwego pożywienia, tak samo komórki ich ciał miały wbudowaną zdolność do natychmiastowego wytwarzania przeciwciał, jeśli wejdzie z nimi w kontakt toksyna jakiegokolwiek organizmu chorobotwórczego. Zatem tormale były skutecznie zabezpieczone przed jakąkolwiek chorobą przenoszoną zwykłymi metodami infekcji. Jeśli jednak, dajmy na to, wstrzyknięto im do krwioobiegu kulturę patogennych bakterii, zaatakowane zostało całe ich ciało i to wszędzie na raz. Praktycznie nie było żadnego okresu inkubacji.

Murgatroyd, który zaraził się plagą późnym popołudniem, o zachodzie słońca gwałtownie zareagował na zawarte w niej toksyny. A dwie godziny po zapadnięciu zmroku wstał i krzyknął przenikliwie: „Chee-chee-chee!" Pogrążył się w ciężkim śnie. Kiedy się obudził, na polanie płonęło małe ognisko, wokół którego wyczerpani, wychudzeni uciekinierzy naradzali się z Calhounem.

Calhoun mówił im z goryczą:

— Ta wszystko jest nie tak! Ta sprawa jest wewnętrznie sprzeczna, a to oznacza, że człowiek lub ludzie próbują ingerować w sposób, w jaki został stworzony wszechświat. Ci osobnicy w mieście nie walczą z zarazą — współpracują z nią! Kiedy przybyłem na statku Medycznym, powinni byli przyjąć moją pomoc. Zamiast tego próbowali mnie zabić, żebym nie mógł przystąpić do wykonywania zadań, do których jestem stworzony i do których zostałem wyszkolony! Występują przeciwko sposobowi, w jaki działa wszechświat. Z tego, co powiedziała mi Helen, wylądowali w mieście, aby pomóc zarazie unicestwić wszystkich pozostałych na planecie. Natychmiast rozpoczęli rzeź. Dlatego uciekliście.

Zmęczeni, osłabieni ludzie słuchali niemal bezmyślnie.

— Najeźdźcy - bo tym właśnie są — rzucił ze złością Calhoun — muszą być odporni i dobrze o tym wiedzą, bo inaczej nie ryzykowaliby zarażenia, tropiąc was i zabijając. Miasto jest całe zainfekowane i w ogóle tym się nie przejmują. Wy umieracie, a oni tylko próbują przyspieszyć waszą śmierć. Przylatuję tu i może się do czegoś przydam, więc próbują mnie zabić. Muszą wiedzieć, czym jest ta zaraza i jakie ma skutki, bo ich jedynym problemem wydaje się być to, że nie zabija ona wystarczająco szybko. A to jest coś niezwykłego w naturze. To nie jest inteligentne ludzkie zachowanie.

Murgatroyd rozglądał się. Właśnie się obudził i gdy spał wygląd jego otoczenia całkowicie się zmienił.

— Żadna zaraza nie jest może przyjemna, ale zazwyczaj jest czymś naturalnym. Ta plaga nie jest ani przyjemna, ani naturalna. Widać tu ingerencję człowieka w normalny bieg wydarzeń - bo to, jak toczą się sprawy, z pewnością nie jest normalne. Nie jestem pewien, czy ktoś nie kierował tym od samego początku. Dlatego strzeliłem do tego człowieka z kuszy, zamiast użyć przeciwko niemu blastera. Chciałem go zranić, żeby zmusić go do odpowiedzi na kilka pytań, ale ta kusza nie jest najcelniejszą bronią i tak się złożyło, że niechcący go zabiłem. W jego kieszeniach nie znalazłem zbyt wielu informacji. Jedynym istotnym przedmiotem były kluczyki do samochodu naziemnego, a to oznacza tylko, że ten samochód gdzieś czeka, aż właściciel wróci z polowania na was.

Wychudzony młody człowiek odparł ponuro:

— Nie pochodził z Dettry, z naszej planety. Na różnych światach moda jest inna, a on ma na sobie uniform, którego u nas się nie nosi. Jego ubranie ma również zapięcia takiego rodzaju, jakich my nie używamy. Pochodzi z zupełnie innego układu słonecznego.

Murgatroyd zobaczył Calhouna i rzucił się do niego. Z entuzjazmem objął nogi Calhouna. Paplał piskliwie o uldze, jaką poczuł na widok

znanego mu człowieka. Przypominające szkielety ofiary zarazy wpatrywały się w niego.

— To — oznajmił Calhoun z niesamowitą ulgą — jest Murgatroyd. Był zarażony i już wyzdrowiał. A teraz wyleczymy was, ludzie. Szkoda, że nie mam lepszego światła!

Policzył oddechy Murgatroyda i osłuchał mu serce. Murgatroyd był w niesamowicie dobrym stanie zdrowia, co jest normą u każdego zadbanego niższego zwierzęcia, ale jeśli chodzi o tormale zdolność ta pozostaje na poziomie geniuszu. Calhoun przyglądał się mu z głęboką satysfakcją.

— No dobrze! — zawołał. — Podejdźmy tam!

Wyciągnął z ogniska kawał płonącego żywicznego drewna. Podał go wychudzonemu młodzieńcowi i poprowadził go. Murgatroyd szedł za nimi z widoczną satysfakcją. Calhoun zatrzymał się pod jednym z niezajętych szałasów i wyciągnął swój zestaw laboratoryjny. Pochylił się nad Murgatroydem. To, co zrobił, nie zrobiło krzywdy jego małemu towarzyszowi. Kiedy Calhoun wstał, zerknął na czerwony płyn w instrumencie, którego używał.

— Około dwudziestu centymetrów sześciennych — zauważył. — To, co teraz robię, to postępowanie stosowane w absolutnie wyjątkowych wypadkach. Ale powiedziałbym, że mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową.

Wychudzony młody człowiek stwierdził:

— Ja bym powiedział, że właśnie sam pan skazał się na śmierć. Zdaje się, że okres inkubacji trwa około sześciu dni. Tyle czasu zajęło rozwinięcie się choroby wśród lekarzy, których mieliśmy wśród pracowników państwowych.

Calhoun otworzył przegródkę zestawu, którego maleńkie probówki i pipety zalśniły w świetle latarki. Wstrzyknął czerwonawy płyn do miniaturowego cylindra filtrującego, przebijając w tym celu samouszczelniającą się plastikową osłonkę. Powiedział:

— Jest pan oczywiście lekarzem przed specjalizacją. Sposób, w jaki pan mówi…

— Ja byłem stażystą — przerwał mu Kim. — Teraz jestem przed śmiercią.

— W to ostatnie akurat wątpię — stwierdził Calhoun. — Ale szkoda, że nie mam choć trochę wody destylowanej… to jest antykoagulant. — Do zapieczętowanego, ciemnoczerwonego płynu dodał maleńką kroplę jakiejś substancji. Potrząsnął filtrem, żeby wymieszać jego zawartość. Cały cylinder był niewiele większy od jego kciuka. — Teraz zgęścimy… — Dodał niewielką ilość innej substancji z niemal mikroskopijnej ampułki. Ponownie potrząsnął filtrem. — Powinien pan odgadnąć, co robię. Mając do dyspozycji przyzwoite laboratorium, poznałbym strukturę i skład przeciwciała, które Murgatroyd tak uprzejmie nam wytworzył. Zabralibyśmy się za jego syntezę i za dwadzieścia godzin mielibyśmy je w dużych ilościach z kolb reakcyjnych. Ale laboratorium nie mamy.

— Jest jedno w mieście — powiedział pozbawionym nadziei tonem wychudzony młody człowiek. — Przeznaczone było dla kolonistów, którzy mieli tu przybyć. Mieliśmy personel, który powinien zapewnić im

odpowiednią opiekę medyczną. Kiedy nadeszła plaga, nasi lekarze zrobili wszystko, co można było sobie wyobrazić. Nie tylko próbowali zwykłych sztuczek hodowli kultur, lecz pobrali próbki każdej tkanki oddzielnie od przypadków śmiertelnych. Do końca nie znaleźli, nawet pod mikroskopem elektronowym, ani śladu mikroorganizmu, który mógłby wywoływać zarazę. — Dodał z pełną zmęczenia dumą: — Ci, którzy zostali zainfekowani, pracowali, dopóki nie zachorowali, a potem inni przejmowali ich funkcje. Każdy z ludzi pracował tak długo, dopóki był w stanie zmusić swój mózg, aby mu służył.

Calhoun popatrzył przez szklaną rurkę filtra na światło migoczącej pochodni.

— Prawie zgęszczone — powiedział. Następnie dodał: — Podejrzewam, że gdzieś musiano wykonać bardzo dobrą robotę laboratoryjną, która dała najeźdźcom pewność, że są odporni na tę zarazę. Wylądowali tutaj i natychmiast zabrali się do oczyszczania miasta - aby dokończyć pracę, której nie udało się w pełni wykonać zarazie. Podejrzewam, że musiano także wykonać bardzo dobrą robotę laboratoryjną, aby mechanizm zarazy stał się niewykrywalny. Nie podoba mi się to, co zmuszony jestem podejrzewać!

Jeszcze raz sprawdził szklany filtr.

— Ktoś także — powiedział chłodno — uznał, że moje przybycie będzie niekorzystną okolicznością dla niego i tego, co chciał osiągnąć. Myślę, że tak to musiało być. Próbował więc mnie zabić. Nie udało mu się. Obawiam się, że ja również muszę zacząć uważać jego istnienie za niekorzystną okoliczność. — Przerwał na chwilę i oznajmił rytmicznie, miarowo akcentując słowa: — Współpraca z zarazą to kwestia wysoce techniczna; wymaga takich samych ilości wiedzy, co walka z zarazą. Współpracy nie da się prowadzić na odległość, nie bardziej niż walki z nią. Gdyby najeźdźcy przybyli, aby walczyć z zarazą, wysłaliby na pomoc swoich najlepszych lekarzy. Gdyby przylecieli aby jej pomóc, wysłaliby rzeźników, ale także wysłaliby najlepszego człowieka jakiego mieli, aby upewnił się, że z zarazą nie dzieje się nic złego. Logicznym dyrektorem terenowym tego rodzaju projektu eksterminacji byłby człowiek, który sam opracował zarazę. — Znów zrobił chwilę przerwy i zakończył lodowatym tonem: — Nie jestem sędzią, który miałby rozsądzać o czyjejkolwiek winie, niewinności czy oczekującym go losie, ale jako pracownik Służby Medycznej mam odpowiednią władzę do podejmowania środków zapobiegających wszelkim zagrożeniom dla zdrowia!

Zaczął naciskać tłoczek filtra, obserwując go w chwiejnym świetle pochodni. Tłoczek sam w sobie był filtrem i z drugiej jego strony bardzo powoli zaczęła pojawiać się przezroczysta, poruszająca się ciecz.

— Ale tak dla pewności: mówił mi pan, że w mieście jest laboratorium, i lekarze nic nie znaleźli.

— Nic — potwierdził pozbawionym nadziei tonem Kim. — Przeprowadzono pełne badanie bakteriologiczne planety. Nie pojawiło się na niej nic nowego. Flora bakteryjna jamy ustnej i jelit u wszystkich była normalna. Oczywiście, żaden obcy zarazek nie byłby w stanie konkurować ze szczepami, z którymi my, ludzie, żyjemy od tysięcy lat. Zatem w

żadnej kulturze, pobranej od żadnego pacjenta, nie było niczego, czego byśmy wcześniej nie znali.

— Mogła nastąpić mutacja — zauważył Calhoun. Obserwował wzrost ilości przezroczystego serum. — Ale skoro wasi lekarze nie potrafili przekazać dalej tej choroby…

— Potrafili! — zaprzeczył z goryczą Kim. — Potężna dawka specjalnie dobranych drobnoustrojów była w stanie ją przenosić, zarówno drogą oddechową, poprzez połknięcie lub nawet rozmaz na skórze. Zwierzęta doświadczalne można było plagą zarazić. Ale nie udało się wyśledzić konkretnego zarazka, który by ją powodował. I żadna czysta, pozbawiona nowych drobnoustrojów kultura nie mogła tego dokonać!

Calhoun w dalszym ciągu obserwował pojawianie się coraz większych ilości klarownego płynu za tłoczkiem filtra. Obecnie już po jego drugiej stronie znajdowało się ponad dwanaście centymetrów sześciennych przejrzystej surowicy, a przed nim pozostał prawie zestalony blok zlepionych krwinek. Z pieczołowitą precyzją wyciągnął z pojemnika przezroczysty płyn.

— Działamy w warunkach dalece odbiegających od aseptycznych — stwierdził ironicznie — ale musimy zaryzykować. Co do plagi, mam pewne przeczucia. Mechanizm chorobotwórczy, którego nie tworzy pojedynczy, możliwy do zidentyfikowania zarazek - to nie jest naturalne… Pachnie laboratorium, tak samo jak zabójcy w mundurach, odporni na zarazę. Nie będzie to chyba zbyt szalone przypuszczenie, że ktoś musiał stworzyć tę zarazę i uodpornić na nią najeźdźców. Że została ona specjalnie zaprojektowana tak, aby zmylić lekarzy, którzy mogliby podjąć próbę walki z nią.

— To prawda — zgodził się z nim z goryczą Kim.

— A więc — mówił dalej Calhoun — może żadna czysta kultura nie mogła przenosić zarazy. Może, gdy tworzy się czyste kultury, po prostu aparat wywołującego katastrofę w nich nie występuje. Są nawet powody, by podejrzewać tutaj coś konkretnego. Murgatroyd był bardzo chory. Znam tylko jeden przypadek, w którym tormal zareagował na wstrzyknięcie choroby tak gwałtownie, jak Murgatroyd obecnie. Przy tym przypadku nieźle się napociliśmy.

— Jeśli mam przeżyć — powiedział ponuro Kim, — chciałbym wiedzieć, co to było.

— Skoro ma pan przeżyć — odparł mu Calhoun — to panu powiem. To była para organizmów. Oddzielnie były niemalże tak nieszkodliwe, że nie było o czym mówić. Razem, ich toksyny łączyły się, tworząc silną truciznę. To była synergia. Stanowiły synergiczną parę, która razem działała jak materiał wybuchowy. To było diabelnie trudne do wyśledzenia!

Przeszli z powrotem przez polanę. Murgatroyd szedł podskakując za nimi, drapiąc się po znieczulonym miejscu na boku.

— Pani pójdzie pierwsza — powiedział krótko Calhoun do Helen Jons. — To serum z przeciwciałami. Może potem panią swędzieć, ale nie wydaje mi się. Pani ramię, proszę.

Obnażyła przeraźliwie chude ramię. Dał jej praktycznie centymetr sześcienny płynu, który – plus cząsteczki około czterdziestu paru innych

niezbędnych substancji - do niedawna krążył w krwiobiegu Murgatroyda. Jeden związek plus filtr zlepiły i usunęły jego krwinki, a antykoagulant starannie zmodyfikował większość pozostałych. W ciągu kilku minut zestaw laboratoryjny przygotował najbardziej użyteczną surowicę, jaką można było uzyskać przy pomocy dowolnej techniki wykorzystującej zwierzęta. Logicznie rzecz biorąc, należałoby teraz wyizolować zawarte w serum przeciwciała i określić ich strukturę chemiczną. Należałoby je zsyntetyzować i podać ofiarom zarazy syntetyczny zestaw przeciwciał. Lecz Calhoun znalazł się w obliczu grupy ludzi stojących na progu śmierci. Mógł użyć jedynie swojego zestawu polowego, aby dokonać dla nich cudu na małą skalę. Nie był w stanie podjąć się zadania masowej produkcji lekarstwa.

— Następny pacjent! — oznajmił Calhoun. — Kim, niech pan im powie, o co w tym wszystkim chodzi.

Wychudzony młodzieniec obnażył swoje ramię.

— Jeśli to, co on mówi jest prawdą, to nas wyleczy. Jeśli tak nie jest, to nic nie może nam już bardziej zaszkodzić.

I Calhoun szybko dał im, po kolei, zastrzyki z serum leczniczego na niezidentyfikowaną chorobę, która, jak podejrzewał, nie była spowodowana przez żaden pojedynczy zarazek, ale przez partnerstwo dwu. Synergia to wspólne działanie. Węgiel będzie się palił spokojnie. Ciekłe powietrze w ogóle nie jest palne. Ale obie rzeczy zmieszane razem, stanowią gwałtowny materiał wybuchowy. Starodawna, prosta substancja sulfonamidowa nie na charakteru odurzającego. Kieliszek wina także nie odurzy. Ale obie rzeczy razem dają kopa o sile dynamitu. Synergia w medycynie to proces, w wyniku którego, gdy jedna substancja o jakimś działaniu zostanie podana w połączeniu z inną substancją o innym działaniu, oba razem dają skutki trzeciej substancji, wzmocnione do czwartej, piątej lub dziesiątej potęgi.

— Myślę — powiedział Calhoun, kiedy skończył — że do rana poczujecie się państwo lepiej. Być może całkowicie wyzdrowiejecie z zarazy, a jedynie będziecie osłabieni z tego powodu, że przez ostatni okres bardzo mało jedliście. Jeśli tak rzeczywiście będzie, to radzę wam wszystkim, abyście na dłuższy czas oddalili się jak najbardziej od miasta. Sądzę, że ta planeta zostanie ponownie zaludniona. Podejrzewam, że statki z kolonistami już tu lecą, lecz nie z Dettry, która zbudowała to miasto. I zdecydowanie uważam, że niezależnie od tego, czy jesteście chorzy, czy zdrowi, będziecie mieli kłopoty, jeżeli lub kiedy spotkacie się z nowymi kolonistami.

Patrzyli na niego zmęczonymi spojrzeniami. Byli bardzo osobliwą grupą ludzi. Każdy z nich wyglądał na zagłodzonego niemal na śmierć, lecz w ich oczach nie było nawet cienia cierpienia. Wyglądali na niewiarygodnie zmęczonych, a mimo to nie było po nich widać śladu zaniedbania. Należeli do tego osobliwego rodzaju ludzi, którzy utrzymują cywilizację ludzką wbrew bezwładności rasy, ponieważ są w stanie nakłonić się do zrobienia tego co trzeba. Ta uparta część ludzkości, która utrzymuje wszystko, nie jest może najbardziej efektowna. Czasami jej działanie wygląda wręcz absurdalnie. To, że umierający ludzie myją się, kiedy nawet taki wysiłek

wymaga ogromnej siły woli, nie jest do końca racjonalne. Pomaganie sobie nawzajem w staraniach o godną śmierć, było w dużo większym stopniu kwestią szacunku do samych siebie niż decyzji intelektualnej. Jednak jako lekarz i funkcjonariusz Służby Medycznej, Calhoun spoglądał na nich ze znaczną dozą ciepła. Byli ludźmi, których dobrze było mieć pod ręką, gdy pojawiała się sytuacja kryzysowa i zbieracze bogactw patrzyli tylko jak tu uciec, a część populacji o słabym wyczuciu czasów w jakich żyją, wykazywała skłonności do zamieszek, grabieży lub nawet gorszych czynów.

Teraz czekali już tylko apatycznie na śmierć.

— Nie istnieje w historii dokładnie identyczny precedens dla tego, co się tu wydarzyło — wyjaśnił Calhoun. — ale mniej więcej tysiąc lat temu żył król Francji - kraju na starej Ziemi - który próbował wykorzenić chorobę zwaną trądem, likwidując wszystkich ludzi, którzy na nią cierpieli. Lecz trędowaci byli dużym ciężarem. Nie mogli pracować. Trzeba było ich karmić z wykorzystaniem fundacji charytatywnych. Umierali w niedogodnych miejscach i tylko inni trędowaci odważali się dotykać ich ciał. Zwykle wybijali kompletnie z równowagi życie normalnych ludzi. W tym przypadku jest jednak inaczej. Człowiek, którego zabiłem, chciał, żebyście zginęli z zupełnie innego powodu. On i jego koledzy chcieli żebyście umarli natychmiast.

Wynędzniały Kim Walpole stwierdził ze znużeniem:

— Chciał pozbyć się naszych ciał w sanitarny sposób.

— Nonsens! — warknął Calhoun. — Miasto jest całe zakażone. Mieszkaliście w nim, jedliście, oddychaliście, chodziliście wszędzie. Nikt nie odważyłby się korzystać z tego miasta, gdyby nie wiedział, w jaki sposób przenosi się ta zaraza i jak jej przeciwdziałać. Wasi koloniści zawrócili. Ci ludzie nie wylądowaliby tutaj, gdyby nie wiedzieli, że są bezpieczni!

Zapadła cisza.

— Jeśli zaraza jest celową zbrodnią — dodał Calhoun — wy byliście jej jedynymi świadkami. Trzeba było się was pozbyć, zanim przybędą tu koloniści spoza Dettry.

Ciemnobrody mężczyzna warknął:

— To potworne! Potworne!

— Zgadza się — potwierdził Calhoun. — Ale współcześnie nie mamy rządu międzygwiezdnego, podobnie jak w dawnych czasach na Ziemi nie było rządu planetarnego. Gdyby więc ktoś zawładnął kolonią gotową do zajęcia, nie istnieje żadna władza, która byłaby w stanie go z niej wyrzucić. Jedynym rozwiązaniem byłaby wojna. A nikt nie rozpocznie wojny międzyplanetarnej - nie w sytuacji gdy mamy bomby, które można zrzucać z kosmosu! Jeśli najeźdźcom uda się tutaj wylądować, będą w stanie bez trudu utrzymać to miejsce. — Przerwał na chwilę i dorzucił z ironią: — Oczywiście, chyba że uda się ich przekonać, że się mylą.

Lecz to nawet nie było warte rozważań. Przy obliczaniu prawdopodobieństwa ludzkiego postępowania, interes własny jest czynnikiem o wysokiej wartości. Dzieci i barbarzyńcy mają bardzo zdecydowane pojęcie o sprawiedliwości, która należy się im, ale nie mają żadnego pojęcia o sprawiedliwości, którą należni są oni. I choć kolonie

ludzkie rozprzestrzeniły się daleko w kierunku krawędzi galaktyki, nadal duża część ludzkości była cywilizowana tylko pod tym względem, że potrafiła posługiwać się narzędziami. Większość ludzi w swym życiu emocjonalnym, w dalszym ciągu pozostawała w wygodnym barbarzyństwie lub infantylizmie. Był to fakt, który należało brać pod uwagę w profesji Calhouna. W niezwykle poruszający sposób wiązał się on z kwestiami zarażenia, zdrowia i samego życia.

— Będziecie musieli się kryć. Być może na stałe — powiedział im. — To jednak w znacznej części zależy od tego, co mnie spotka. Muszę jechać do miasta. Tam istnieje bardzo poważny problem zdrowotny.

Kim z ironią stwierdził:

— W mieście? Tam wszyscy są zdrowi. Są tak zdrowi, że przybywają tutaj, aby polować na nas dla zabawy!

— Biorąc pod uwagę fakt, że miasto jest w pełni zainfekowane, ich odporność stanowi jednak problem zdrowotny — powiedział Calhoun. — Lecz poza tym wygląda na to, że tam też leży pierwotna przyczyna zarazy. Przypuszczam, że pomysłodawcą tej całej zarazy jest dyrektor techniczny operacji eksterminacyjnej, która właśnie się toczy na tej planecie. Wydaje mi się, że znajduje się on na pokładzie statku, który przywiózł najeźdźców-rzeźników. Mogę się założyć, że ma na tym statku bardzo dobre laboratorium.

Kim wpatrywał się w niego. Zaciskał i otwierał dłonie.

— I powiedziałbym, że zwalczanie obecnej plagi, zanim zajmiemy się tym człowiekiem i jego laboratorium, może być zupełnie bezcelowe — stwierdził Calhoun. — Prawdopodobnie wszystko z wami będzie w porządku. Myślę, że obudzicie się w znacznie lepszej formie. Możecie być zdrowi. Ale jeśli plaga ma charakter sztuczny, jeśli została stworzona, aby uczynić planetę-kolonię bezużyteczną dla świata, który ją zbudował, lecz zdrową dla ludzi, którzy chcą ją przejąć…

— To, co?

— Może to być najlepsza zaraza, jaką rozpętano w tym celu, ale równie mocno możecie być pewni, że nie jest ona jedyna. Trzeba by opracować dziesiątki odmian śmiercionośnych zarazków, aby mieć pewność, że zostanie wybrana najbardziej śmiercionośna ich wersja. Należałoby wypróbować różne rodzaje jej utajenia, na wypadek gdyby ktoś, tak jak ja, odgadł ten trick z synergią i zdołał coś zrobić z pierwszą wykorzystaną zarazą. Musieliby mieć pod ręką drugą, trzecią i czwartą zarazę. Rozumiecie?

Kim skinął głową, oniemiały.

— Taki plan stanowi prawdziwe zagrożenie dla zdrowia — powiedział Calhoun. — Jako pracownik Służby Medycznej muszę rozwiązać ten problem. To coś o wiele ważniejszego niż wasze życie, moje czy Murgatroyda. Muszę więc udać się do miasta, żeby zrobić wszystko, co w mojej mocy. Tymczasem lepiej będzie jeśli się położycie. Dajcie szansę przeciwciałom Murgatroyda na działanie.

Kim ruszył aby odejść. Po chwili jednak powiedział:

— Pańska obecność wyszła na jaw. Czy zabezpieczył się pan?

— Proszę wstrzyknąć mi ćwierć centymetra sześciennego — polecił Calhoun. — To powinno wystarczyć.

Podał iniektor wychudzonemu młodzieńcowi. Zauważył sprawność, z jaką Kim sobie z nim poradził. Potem pomógł przenieść ocalałych z pierwotnej grupy - było ich teraz sześciu - na liściaste posłania pod osłonami. Byli bardzo spokojni, nawet bardziej, niż wynikałoby to z choroby. Byli bardzo uprzejmi. Starzec i kobieta, którzy razem wrócili na polanę, dołożyli wszelkich starań, aby złożyć Calhounowi życzenia dobrej nocy z uprzejmością właściwą dla tradycji mieszkańców miasta.

Calhoun usiadł i czuwał przez całą noc. Murgatroyd ufnie przytulił się do niego. Zapadła cisza.

Lecz nie całkowita cisza. Noc na Maris III wypełniona była mnóstwem drobnych odgłosów, a niektóre z nich nie były wcale takie słabe. Słychać było ciche popiskiwania, zdające się dobiegać ze wszystkich stron, także z góry. Słychać było świergoty, które zdecydowanie pochodziły z poziomu ziemi. Ze wzgórz dolatywały odgłosy przypominające wytężone pochrząkiwanie. W niżej położonych miejscach rozległo się dudnienie, które bardzo powoli przemieszczało się z miejsca na miejsce. Na podstawie szybkości ruchu Calhoun domyślał się, że to jakieś stado niewielkich zwierząt odbywa nocną podróż i wydaje podczas niej te głębokie, basowe dźwięki.

Sam zajął się rozważeniem pewnych ponurych możliwości. Zabity przez niego mężczyzna miał w kieszeni kluczyk do samochodu naziemnego. Prawdopodobnie przyjechał pojazdem z napędem silnikowym. Mógł mieć jakiegoś towarzysza, a metoda polowania na zbiegów - w jego przypadku tak skuteczna - była prawdopodobnie dobrze ugruntowana. Ten towarzysz mógł go szukać, dlatego konieczne było zachowanie czujności.

W międzyczasie, trzeba było się zająć sprawą zarazy. Idea synergii zarazków chorobotwórczych była nadal najbardziej prawdopodobna. Załóżmy, że toksyny - trujące produkty przemiany materii - dwóch odrębnych rodzajów bakterii łączyły się, aby zmniejszyć zdolność krwi do przenoszenia tlenu i usuwania z organizmu dwutlenku węgla? Zidentyfikowanie pary takich mikrobów byłoby niezwykle trudne, a objawy byłyby usprawiedliwiane innymi czynnikami. Żadna czysta kultura uzyskana z żadnego mikroorganizmu, jaki można byłoby znaleźć, nie powodowałaby zarazy. Każdy z zarazków sam w sobie byłby nieszkodliwy. Tylko kombinacja obydwu byłaby miałaby dopiero szkodliwy charakter. A przy tych wszystkich założeniach, gdyby krew utraciła zdolność przenoszenia tlenu, pierwszym objawem byłaby apatia umysłowa. Mózg, jeśli ma działać prawidłowo, wymaga wysokiego poziomu tlenu w krwi. Jeżeli mózg człowieka będzie stopniowo i powoli pozbawiany tlenu, to wystąpią wszystkie zaobserwowane w wypadku tej zarazy skutki. Inne jego narządy będą również zwalniały, ale w słabszym tempie. Człowiek nie będzie pamiętał o jedzeniu. Jego krew nadal będzie dostarczała strawionego pokarmu, pochodzącego ze spalania własnego tłuszczu - choć coraz bardziej ospale, podczas gdy mózg będzie pracował co najwyżej mgliście. Człowiek stałby się tylko na wpół przytomny, a potem

nadszedłby czas śpiączki, kiedy mózg wpadałby w stan całkowitej utraty przytomności, zaś ciało żyłoby wyłącznie jak maszyna na jałowym biegu, dopóki nie zabrakłoby mu paliwa i w końcu by nie umarło.

Calhoun spróbował na szybko znaleźć synergiczną kombinację, która mogłaby sprawiać, że krew człowieka przestanie funkcjonować. Być może potrzebne byłyby jedynie bardzo niewielkie ilości podwójnej trucizny. Mogłaby ona działać jako antywitamina lub antyenzym, albo…

A jednak najeźdźcy z miasta byli odporni. Całkiem możliwe, że za ich bezpieczeństwo odpowiedzialne były te same przeciwciała, które wytworzył Murgatroyd. Gdzieś, ktoś w niesamowicie straszliwy sposób wykorzystał wiedzę medyczną do popełnienia potwornej zbrodni. Lecz medycyna ciągle była nauką. Był to nadal zasób wiedzy z zakresu praw natury. Prawa natury są spójne i współdziałają w dążeniu do celów, dla których został stworzony wszechświat.

Usłyszał szmer jakiegoś ruchu na polanie. Sięgnął po blaster. Potem zobaczył, co przyciągnęło jego uwagę. Był to Kim Walpole, strasznie zmęczony, wlokący się z ogromnym wysiłkiem do miejsca, w którym leżała Helen Jons. Calhoun usłyszał, jak pyta ciężko:

— Wszystko u ciebie w porządku?

— Tak, Kim — odparła cicho dziewczyna. — Nie mogłam spać. Zastanawiam się, czy możemy mieć jakąś nadzieję.

Kim nie odpowiedział.

— Jeśli przeżyjemy… — dodała tęsknie dziewczyna. Zamilkła.

Calhoun poczuł, że powinien włożyć palce w uszy. Rozmowa miała bardzo intymny charakter. Ale musiał zachować czujność, więc zakasłał, żeby dać im znać, że ich słyszy. Kim zawołał do niego:

— Calhoun?

— Tak — powiedział Calhoun. — Jeśli macie zamiar rozmawiać, sugeruję, żebyście robili to szeptem. Muszę pilnować, czy człowiek, którego zabiłem, nie miał towarzysza, który mógłby go szukać. Ale, jedno pytanie. Jeśli plaga ma sztuczny charakter, to musiała się gdzieś rozpocząć. Czy jakieś dwa tygodnie do miesiąca przed tym, zanim wasi robotnicy zaczęli chorować, wylądował tutaj jakiś statek? Mógł przybyć skądkolwiek.

— Nie mieliśmy lądowania żadnego statku — odparł Kim. — Niczego.

Calhoun zmarszczył brwi. Jego rozumowanie wydawało się trafne. Ale przecież zaraza musiała zostać sprowadzona z jakiegoś innego miejsca!

— Musiało coś być — upierał się. — Dowolny rodzaj statku! Z dowolnego miejsca!

— Na pewno, nikt u nas nie lądował — powtórzył Kim. — Przez trzy miesiące przed pojawieniem się zarazy nie komunikowaliśmy się z żadną inną planetą. Nie było u nas żadnych statków, poza transportowcami z Dettry, przywożącymi zaopatrzenie, robotników i tym podobne rzeczy.

Calhoun skrzywił się. To było niemożliwe. Wtedy zabrzmiał bardzo słaby głos Helen. Kim odpowiedział jej coś szeptem. Następnie powiedział:

— Helen przypomniała mi, że pewnej nocy, niedługo przed wybuchem zarazy, rozległ się jakiś dziwny grzmot. Nie jest pewna, czy to jest istotne, ale w środku nocy, kiedy świeciły wszystkie gwiazdy, po niebie nad

miastem przetoczył się w tą i z powrotem grzmot. To było mniej więcej tydzień lub dwa przed zarazą. Obudził wszystkich. Potem przemieścił się aż po horyzont i poniósł gdzieś dalej. Specjaliści od pogody nie potrafili tego wytłumaczyć.

Calhoun zamyślił się. Murgatroyd przytulił się do niego jeszcze mocniej. Nagle lekarz pstryknął palcami.

— To było tak! — rzucił gwałtownie. — Na tym to wszystko polegało! Nie znam jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania, ale mam parę bardzo przydatnych pytań, które warto by było zadać. I chyba wiem, gdzie należy je zadać.

Usiadł z powrotem. Murgatroyd spał. Z miejsca, w którym Kim Walpole i Helen tęsknie rozmawiali o swych możliwych nadziejach dobiegał tylko cichuteńki szmer głosów.

Calhoun rozmyślał nad stojącym przed nim problemem. Z ludzi, którzy zbudowali miasto, ocalało bardzo, bardzo niewielu. Teraz w mieście rezydowała grupa przywiezionych statkiem morderców - rzeźników! - którzy wylądowali na planecie, aby dopilnować, by ostatni z ocalałych zostali wybici. Nie ulegało wątpliwości, że w ekspedycji najeźdźców brał udział jakiś doskonale wykształcony i prawdopodobnie genialny mikrobiolog. Jego obecność była niezbędna, aby zapewnić powodzenie działania zarazy i zweryfikować pewność ochrony rzeźników, aby mogli tu przybyć inni koloniści, którzy przejmą planetę i będą z niej korzystali. Nie mogło być najmniejszych wątpliwości co do bezpieczeństwa ludzi spoza Dettry, którzy spodziewali się, że zamieszkają na tej planecie. Musiał więc istnieć w pełni kompetentny nadzór nad tą potworną, tą niemalże nie do pomyślenia, kradzieżą świata.

— Plaga najprawdopodobniej wywoływana jest przez parę wirusów — mruknął Calhoun. — Prawdopodobnie sprowadzonych na planetę z zewnątrz i rozpylonych przez statek posiadający skrzydła oraz silniki rakietowe. Musiał mieć skrzydła, ponieważ nie chciał lądować, tylko miał przelecieć w tą i z powrotem nad miastem. Zrzucał zamrożone granulki podwójnej kultury wirusa Spadały w stronę ziemi, topiąc się i parując w miarę jak znajdowały się coraz niżej, i unosiły się nad miastem jako niewidzialna, opadająca warstwa zarazy, pokrywająca wszystko. Następnie statek odleciał gdzieś za horyzont i wyleciał w przestrzeń kosmiczną na swych silnikach rakietowych. Jego skrzydła nie miały znaczenia poza atmosferą, wszedł w hipernapęd i wrócił do domu, aby poczekać…

Poczuł lodowaty gniew, zbyt gwałtowny by można określić go tylko jako wściekłość. Dzięki tej technice jakaś konfederacja pozbawionych litości istot ludzkich może stać się pasożytem na innych światach. Mogliby przejąć każdą dowolną planetę, niszcząc jej mieszkańców, i żaden inny naród nie byłby w stanie skutecznie zaprotestować, ponieważ skradziona planeta byłaby bezużyteczna, dla wszystkich poza mordercami, którzy ją przejęli. Ta sprawa na Maris III może być jedynie testem nowej fali bezwzględnych podbojów. Planeta morderców mogłaby rozprzestrzeniać po galaktyce swoją upiorną kulturę, niczym raka.

Ale poza możliwym rozwojem polityki podboju poprzez mordy wywołane sztucznymi zarazami, w grę wchodziły jeszcze dwie inne

kwestie. Jedną z nich było to, co stanie się z ludźmi - normalnymi, zwyczajnymi obywatelami - żyjącymi w cywilizacji, która będzie rozprzestrzeniała się i utrzymywała, przy pomocy takich środków. Nie byłoby to dla nich dobre. W sumie byliby w gorszej nawet sytuacji niż ludzie, którzy będą ginąć.

Drugą?

— Oni mogliby przeprowadzić test terenowy swojego systemu — stwierdził bardzo chłodno Calhoun — nie czyniąc żadnej poważniejszej szkody Służbie Medycznej niż zabicie jednego człowieka - mnie - i zniszczenie jednego małego statku Medycznego. Ale nie mogliby zastosować tego systemu na jakąkolwiek większą skalę, nie niszcząc najpierw Służby Medycznej. Ta sprawa zaczyna mi się naprawdę bardzo nie podobać!

V

„Większa część nauk fizycznych polega jedynie na zrozumieniu długo obserwowanych faktów. W nauce o ludzkim postępowaniu istnieje długa tradycja obserwacji, ale bardzo krótka historia zrozumienia. Na przykład życie człowieka w kontakcie z życiem innych ludzi podlega regułom innych systemów ekologicznych. Zbyt często jednak człowiek wyobraża sobie, że system ekologiczny składa się wyłącznie z żywych stworzeń, podczas gdy taki system oddziałuje poprzez działania tych stworzeń. Nie jest możliwe by jakakolwiek część związku ekologicznego mogła oddziaływać na inną jego część, tak by z kolei tamta nie oddziaływała na nią. Wynika z tego, że wyjątkowo głupie - chociaż zdumiewająco powszechne - jest założenie, iż społeczeństwo ludzkie jest bierne i nie będzie reagować. Osobnicy je przyjmujący mogą zakładać, że wolno im robić, co im się żywnie podoba, lecz nieuchronnie wywołuje to reakcję równie energiczną jak ich pierwotne działanie i równie dobrze ukierunkowaną. Co więcej, prawdopodobieństwo*…"*

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Godzinę po wschodzie słońca, w plecaku Calhouna nie było już ani grama żywności. Zbiedzy po obudzeniu byli słabi i wygłodniali. Tempo ich oddechu zwolniło i powróciło do normy. Tętno nie biło już takim szalonym rytmem. Ich spojrzenia przestały być mętne, lecz stały się bardzo ostre i jasne. Jednakże znajdowali się oni w stanie zaawansowanego niedożywienia i obecnie byli tego w pełni świadomi. Ich mózgi znów otrzymywały odpowiednią ilość tlenu, zaś metabolizm wrócił na normalny poziom - wiedzieli więc, że umierają z głodu.

Calhoun wziął na siebie funkcję kucharza. Pofatygował się do źródła, które opisała mu Helen. Przyniósł wodę. Podczas gdy oni wysysali słodkie tabletki z jego racji żywnościowych i wpatrywali się we wszystko głodnym wzrokiem, on ugotował im zupę z odwodnionych racji żywnościowych, które przyniósł dla siebie i dla Murgatroyda. Podał im ją jako pierwszą rzecz, którą ich żołądki najprawdopodobniej będą w stanie strawić.

Przyglądał się, jak jedli. Starszy mężczyzna i kobieta pili zupę delikatnie, spoglądając na siebie. Mężczyzna z szeroką ciemną brodą jadł z niezwykłą powściągliwością. Helen pomiędzy kolejnymi łyżkami dla siebie, karmiła najsłabszego, najstarszego mężczyznę, a Kim Walpole jadł powoli, zamyślony.

Calhoun utrzymywał ich przy życiu, powoli dostarczając im jedzenia, aż wreszcie nie miał już nic więcej do zaoferowania. Do tego czasu osiągnęli dosyć satysfakcjonujący wzrost siły. Był już wtedy późny ranek.

Odciągnął na bok Kima.

— W nocy — powiedział mu — przygotowałem kolejną porcję serum. Zostawiam je u pana, razem z iniektorem. Odnajdzie pan innych uciekinierów. Podałem wam ogromne dawki. Lepiej niech pan oszczędza. Proszę spróbować zastrzyków o pojemności pół centymetra sześciennego. Może to panu wystarczy.

— A co z panem? — spytał Kim.

Calhoun wzruszył ramionami.

— Mam ogromną władzę, jeśli uda mi się ją wyegzekwować — stwierdził sucho. — Jako funkcjonariusz ze statku Medycznego mam prawo przejęcia pełnej władzy, w każdej sytuacji zagrażającej zdrowiu. Wy, ludzie, macie tu zarazę. To jedno z tego rodzaju zagrożeń. Ma ona sztuczny charakter. To drugie. Ludzie, którzy ją tutaj rozprzestrzenili, w przypadku odniesienia sukcesu na tej planecie, będą mieli powody, aby sądzić, że są w stanie przejąć dowolny inny świat, jaki sobie wybiorą. Zaś natura ludzka jest taka, jaka jest, tak więc jest to największe zagrożenie dla zdrowia w historii. Muszę za nie zabrać.

— Mamy tu cały statek pełen uzbrojonych morderców — zauważył Kim.

— Nie jestem nimi specjalnie zainteresowany — przyznał Calhoun. — Chcę dopaść człowieka, który stoi na czele tej afery. Jak już mówiłem, pewnie ma on w zanadrzu jeszcze inne zarazki. Całkiem możliwe, że ta operacja nie jest niczym innym, jak tylko terenowym testem na małą skalę, nowej techniki podboju.

— Jeśli ci rzeźnicy pana znajdą, zostanie pan zabity.

— To prawda — przyznał ponownie Calhoun. — Ale liczba zdarzeń losowych, które mogą mi sprzyjać, jest znacznie większa niż zdarzeń, które mogą sprzyjać im. Działam zgodnie z naturą, zaś oni działają wbrew niej. Tak czy inaczej, jako pracownik Służby Medycznej, mam obowiązek zapobiec lądowaniu kogokolwiek - absolutnie kogokolwiek - na dotkniętej zarazą planecie, takiej jak ta. Podejrzewam, że istnieją plany wielu nowych lądowań w mieście. Mam obowiązek ustanowić skuteczną kwarantannę.

Ton jego głosu był bardzo suchy. Kim Walpole popatrzył na niego.

— To znaczy, że spróbuje pan ich powstrzymać?

— Spróbuję — odparł Calhoun — wprowadzić w życie uprawnienia przyznane mi przez Służbę Medyczną, dla takich przypadków jak ten. Zasady dotyczące kwarantanny są dosyć rygorystyczne.

— Zostanie pan zabity — przestrzegł go ponownie Kim.

Calhoun zignorował to powtarzające się przewidywanie.

— Ten najeźdźca was znalazł — zauważył — bo wiedział, że będziecie musieli coś pić. Znalazł więc strumyk i poszedł wzdłuż niego, szukając śladów ludzi pijących wodę. Znalazł w pobliżu źródła ślady stóp. Widziałem, że tam też są jego ślady. To trick, którego może pan użyć, aby odnaleźć innych zbiegów. Ale proszę przekazać dalej przestrogę, żeby nie zostawiać wszędzie śladów. Jeśli chodzi o inną radę, radzę panu zdobyć każdą broń, jaką tylko będzie pan mógł. Nowoczesną oczywiście. Ma pan blaster człowieka, którego zabiłem.

— Myślę — wycedził przez zęby Kim — że uda mi się zdobyć parę kolejnych egzemplarzy. Jeśli myśliwi z miasta szukają naszych śladów w miejscach, w których pijemy, będę wiedział, jak zdobyć więcej broni!

— Tak — zgodził się Calhoun. — Teraz kolejna sprawa. Murgatroyd wytworzył przeciwciała, które was wyleczyły. Ogólnie rzecz biorąc, możecie się spodziewać rozpoczęcia wytwarzania przeciwciał we własnych organizmach, kiedy infekcja zacznie być zwalczana. W skrajnych przypadkach każdy z was prawdopodobnie będzie mógł dostarczyć przeciwciał dla całkiem sporej liczby innych ofiar zarazy. Możecie spróbować użycia serum z pęcherzy, które tworzą się na skórze. Dosyć często pojawiają się w nich przeciwciała. Nie gwarantuję tego, ale czasami to działa.

Przerwał. Kim Walpole spytał szorstko:

— Ale pan! Czy nic dla pana nie możemy zrobić?

— Chciałbym o coś zapytać — powiedział Calhoun. Wyciągnął zrobione przez teleskop zdjęcia przedstawiające widziane z kosmosu miasto. — W mieście jest laboratorium. Laboratorium biochemiczne. Proszę mi pokazać, gdzie go szukać.

Walpole udzielił mu jasnych wskazówek, wskazując odpowiednie miejsce na zdjęciu. Calhoun skinął głową. Wtedy Kim gwałtownie oświadczył:

— Ale niech pan nam powie, co moglibyśmy zrobić! Niedługo wrócimy do pełni sił i zdobędziemy broń. Wyśledzimy wzdłuż rzeki miejsca, gdzie myśliwi zostawiają samochody, którymi przyjeżdżają, i będziemy mieli możliwości transportu. Możemy panu pomóc!

Calhoun pokiwał głową z aprobatą.

— Dobrze. Jeśli zobaczycie w mieście dym dużego pożaru i jeśli uda wam się zebrać sporą liczbę wystarczająco silnych ludzi oraz jeśli będziecie mieli samochody naziemne, możecie to sprawdzić. Ale bądźcie ostrożni. Bardzo ostrożni!

— Jeśli da pan znak, przyjedziemy — obiecał ponuro Kim Walpole, — nieważne, jak wielu nas będzie.

— Doskonale — odparł Calhoun. Nie miał zamiaru wzywać pomocy tych osłabionych, zagłodzonych ludzi.

Ponownie zarzucił na ramiona swój niemal pusty plecak i wymknął się z polany. Dotarł do źródła, wypływającego z niewidocznych głębin ziemi, przejrzystego i chłodnego. Ruszył w dół małego strumyka, który z niego wypływał. Murgatroyd pędził wzdłuż jego brzegów. Nienawidził moczyć łapek. Wkrótce, w miejscu gdzie zarośla rosły gęsto blisko brzegu wody, Murgatroyd zapiszczał: „Chee! Chee!”. Calhoun wziął go z ziemi i posadził sobie na ramieniu. Murgatroyd wtulił się z błogością w jego szyję, podczas gdy Calhoun ruszył dalej korytem strumienia. Tormal uwielbiał aby go nosić.

Dwie mile dalej znajdowało się kolejne pole uprawne. Było ono obsadzone jakąś mocno wyrośniętą rośliną okopową, i Calhoun stanął obok porastających je, sięgających do ramion krzaków o czterocalowych niebiesko-białych kwiatach. Rozpoznał tę roślinę, jako należącą do rodziny psiankowatych (belladonna nadal używana była w medycynie) ale nie

potrafił określić dokładniej co to jest. Wykopał korzeń i znalazł bulwę. Jednak sześciofuntowy okaz, który odkrył, był wciąż zbyt młody i zielony, aby można go było zjeść. Murgatroyd nie chciał go nawet tknąć.

Z żalem dumając nad ograniczeniami specjalistycznych studiów, Calhoun doszedł do końca pola uprawnego. Rozciągała się tam autostrada. Była ona oczywiście nowa. Miasta, pola, autostrady i wszystkie fizyczne aspekty cywilizowanego życia, zostały na tej planecie zbudowane tuż przed przybyciem kolonistów, którzy mieli ją zamieszkiwać. Niezwykłe było zobaczyć takie przygotowania dla ludności, której jeszcze nawet tutaj nie było. Lecz Calhouna znacznie bardziej zainteresował samochód naziemny, który czekał na poboczu autostrady, niedaleko maleńkiego mostu, pod którym przepływał niewielki strumyk.

Kluczyki, które zabrał martwemu najeźdźcy, pasowały. Wsiadł do samochodu i gestem zaprosił Murgatroyda, aby zajął miejsce obok niego.

— Osobnicy tacy jak człowiek, którego zabiłem, Murgatroyd — zauważył Calhoun — nie są zbyt ważnymi ludźmi. To zwykli rzeźnicy - zabójcy. Tego rodzaju osobnicy lubią rabować i łupić. Tutaj zaś nie ma niczego do plądrowania. Z pewnością więc muszą być znudzeni. Z pewnością muszą być niespokojni. Nie będziemy mieli z nimi poważniejszych problemów. Martwi mnie tylko człowiek, który być może zaprojektował, a już z pewnością nadzoruje działanie zarazy. On może sprawić nam kłopoty.

Samochód naziemny wkrótce ruszył w stronę miasta. Calhoun zajął się jego prowadzeniem.

Do przebycia było dobre dwadzieścia mil, lecz po drodze nie spotkał żadnego innego pojazdu. Niebawem rozpostarło się przed nim miasto. Przyjrzał mu się w zamyśleniu. Było bardzo piękne. Pięćdziesiąt pokoleń architektów na wielu światach pracowało nad kamieniem i stalą, szukając perfekcji. To miasto było jej bliskie. Można było dostrzec lśniące bielą wieżowce i niższe budynki, które zdawały się być idealnie wkomponowane w porośnięty roślinnością teren. Widać było strzeliste mosty i wdzięcznie wijące się autostrady, a także rozległe i odpowiednio przygotowane tereny parkowe. Nie było cienia jakiejkolwiek monotonii.

Jedynym wyjątkiem w tym przepięknym widoku była ogromna sieć lądownicza, wysoka na pół mili i szeroka na milę, wyglądająca jak koronka utkana z monstrualnych stalowych dźwigarów i cienkich jak pajęcza nić miedzianych drutów, splecionych w skomplikowane krzywizny niezbędne do jej działania. We wnętrzu urządzenia Calhoun dostrzegł statek najeźdźców. Wylądował on w obrębie sieci, a potem Calhoun wysadził jej transformatory. Pewnie właśnie były w naprawie. Lecz statek stał solidnie na ziemi, we wnętrzu olbrzymiej konstrukcji, przy której wyglądał jak karzełek.

— Człowiek, którego szukamy, będzie na tym statku, Murgatroyd — powiedział Calhoun. — Na pewno zaryglował wewnętrzne i zewnętrzne wrota śluz i zabarykadował się w środku sześciocalowego muru ze stali berylowej. Raczej trudno będzie się do niego dostać. I będzie zaniepokojony. Człowiek w typie intelektualisty, nawet który zszedł na złą drogę, nie może czuć się swobodnie w towarzystwie rzeźników, z którymi

ma do czynienia. Myślę, że rozwiązanie problemu polega na tym, aby nakłonić go, by zaprosił nas do swojego salonu. Lecz to może nie być takie proste.

— Chee — oświadczył z powątpiewaniem Murgatroyd.

— Och, damy sobie z tym radę — zapewnił go Calhoun. — Jakoś!

Rozłożył swoje fotografie. Kim Walpole zaznaczył mu, dokąd powinien się udać i jaką drogą dotrzeć w to miejsce. Będąc w mieście w czasie jego budowy, znał nawet drogi serwisowe, które zostały skryte pod powierzchnią, aby nie zaburzały dobrego wyglądu miasta.

— Ale najeźdźcy — wyjaśnił Calhoun — raczej nie będą zniżać się do korzystania z brudnych dróg serwisowych. Oni uważają się za arystokratów, ponieważ zostali wysłani w glorii zdobywców, chociaż wymagana od nich praca polegała na zwykłej rzezi. Zastanawiam się, co za świnie rządzą światem, z którego ci ludzie pochodzą!

Odłożył zdjęcia i ponownie ruszył w stronę miasta. W jego pobliżu, zjechał z głównej autostrady. Zjazd prowadził w zagłębioną w ziemi półrynnę. Droga w wykopie przeznaczona była dla wjeżdżających do miasta transportów płodów rolnych. Miała ona charakter ściśle użytkowy. Przebiegała skryta poniżej powierzchni terenów parkowych i skromnie wbiegała do miasta. Kiedy docierała pomiędzy budynki, biegła pośród rzędów pozbawionych jakichkolwiek ozdób bram, za którymi zbierano rozmaite odpady, które następnie miały być wywożone jako nawóz na pola. Miasto było naprawdę dobrze zaprojektowane.

Jadąc odbijającą echa skrytą drogą, Calhoun tylko raz dostrzegł poruszający się samochód naziemny, jadący po ciągnącym się bez końca, pajęczym moście pomiędzy dwiema wysokimi wieżowcami. Był on wysoko w górze. Nikt z pasażerów nie będzie obserwował jakichś tam obskurnych dróg handlowych.

Cała sprawa była naprawdę bardzo prosta. Calhoun zatrzymał samochód pod nawisem balkonów jednego z wielopiętrowych budynków. Wysiadł z niego i otworzył bramę. Wjechał samochodem do przepastnej, wciąż nieużytkowanej, dolnej części budynku. Zamknął za sobą bramę. Znajdował się w centrum miasta, a o jego obecności w tym miejscu nikt nie wiedział. Była wtedy trzecia po południu lub może nieco później.

Wspiął się po nowych, czyściutkich schodach i dotarł do sekcji, z których korzystali ludzie. Były tam szklane ściany, które zmieniały swój wygląd, kiedy ktoś przechodził obok nich. Były też windy. Calhoun nawet nie próbował z nich korzystać. Poprowadził Murgatroyda do góry, kolistymi rampami, które stanowiły drogi alarmowe, w awaryjnych sytuacjach prowadzące w górę. On i Murgatroyd wspinali się i wspinali. Calhoun liczył mijane kondygnacje.

Na piątym poziomie widoczne były ślady użytkowania, podczas gdy na wszystkich pozostałych panowała zakurzona pustka budowli, która została ukończona, ale jeszcze nie była zamieszkana.

— No to, jesteśmy — oznajmił wesoło Calhoun.

Lecz kiedy otworzył drzwi laboratorium, trzymał w dłoni blaster. Było ono puste. Szukając magazynu, rozglądał się z aprobatą po pomieszczeniu. Było to doskonale wyposażone laboratorium biologiczne i

widać było, że go używano. To tutaj nieliczni skazani na śmierć lekarze, czekający na przylot stałych mieszkańców miasta, desperacko walczyli z zarazą. Calhoun widział tace z kulturami drobnoustrojów, które stworzyli, teraz wyschnięte i martwe. Ktoś przewrócił krzesło. Prawdopodobnie wtedy, gdy najeźdźcy przeszukiwali laboratorium, na wypadek, gdyby ktoś spoza ich gatunku nadal w tym miejscu pozostał przy życiu.

Znalazł magazyn. Murgatroyd patrzył z błyszczącymi oczkami, jak po nim szpera.

— Tutaj znajdziemy środki, których ludzie używają żeby się nawzajem leczyć — oznajmił proroczo Calhoun. — Praktycznie każdy z nich stanowi truciznę, poza specjalnymi zastosowaniami! Oto kolekcja zarodników - organizmów chorobotwórczych, Murgatroyd. Mają one swoje zastosowanie. A oto leki, które są obecnie syntetyzowane sztucznie, lecz pochodzą od trucizn znalezionych na włóczniach rozmaitych dzikusów. Są one wielce pomocne w medycynie. A tutaj mamy środki znieczulające, też trujące. Na nie właśnie liczę.

Wybrał, bardzo skrupulatnie. Dextrethyl. Polisiarczan. Ten pierwszy oznaczony jako łatwopalny i niebezpieczny. Drugi miał podaną na etykiecie maksymalną dozwoloną dawkę i nazwy substancji przeciwdziałających, mogących go zneutralizować. Narzucił sobie na plecy solidny ładunek. Murgatroyd wyciągnął łapkę. Ponieważ Calhoun coś niósł, on też chciałby coś nieść.

Gdy zbliżał się zachód słońca, zeszli ponownie na dół kolistą rampą. Calhoun jeszcze raz przeszukał podziemne poziomy budynków. Znalazł to, co było mu potrzebne - malarski wirowy pistolet rozpylający, który rzucał na ścianę lub przedmiot przeznaczony do pomalowania, kręgi mgły z maleńkich kropelek farby. Można było zmieniać rozmiar kręgu przy zetknięciu z celem, od tylko cala, do koła o rozpiętości trzech stóp.

Calhoun wyczyścił pistolet z farby. Był przy tym bardzo skrupulatny. Napełnił zbiornik dextrethylem przyniesionym z laboratorium. Schował puste pojemniki tak, by nie było ich widać.

— Ten trick — zauważył, ponownie podnosząc pistolet z farbą — został wymyślony, aby go użyć przeciwko biednemu szaleńcowi, który nosił w kieszeni bombę dla ochrony przed wyimaginowanymi zabójcami. Zniszczyłaby ona okolicę w kręgu o średnicy jednej czwartej mil, więc trzeba było się z nim obchodzić jak z jajkiem.

Poklepał się po kieszeniach. Skinął głową.

— Teraz ruszamy na polowanie z ogromnym rozpylaczem naładowanym dextrethylem. Mam polisiarczan i iniektor, aby zabezpieczyć każdy okaz jaki powalę. Niezbyt to dobre, co? Ale jeśli będę musiał użyć blastera, będzie to oznaczać, że poniosłem porażkę.

Popatrzył przez okno na niebo. Obecnie panował już zaawansowany zmierzch. Wrócił do bramy prowadzącej na drogę serwisową. Wyszedł i ostrożnie zamknął ją za sobą. Pieszo, korzystając z wielu spojrzeń na fotomapy, zaczął odnajdywać drogę do sieci lądowniczej. Powinno tam być coś w rodzaju centrum umiejscowienia najeźdźców.

Było już ciemno, kiedy wspiął się po służbowych schodach, wychodząc z piwnicy innego budynku. Był to budynek łączności miasta. Stanowił on

klucz do procesu sprzątania, który najeźdźcy rozpoczęli po swym wylądowaniu. Tablica informacyjna pokazywała, w których mieszkaniach używane są komunikatory. Gdy nadeszła taka prośba o połączenie, można było wysłać grupę zabójców, która „zaopiekowałaby” się dzwoniącym. Nawet po pierwszej nocy mogły pozostać jeszcze jakieś pojedyncze, odizolowane osoby, nieświadome tego, co się dzieje. Zatem ktoś musiał tu być na straży, na wypadek gdyby umierający człowiek, jeszcze żywy, prosił o pocieszenie ludzkim głosem.

Na wachcie był tu tylko jeden człowiek. Calhoun zobaczył oświetlony pokój. Pistolet do malowania miał już przygotowany i bardzo cicho podszedł do drzwi pomieszczenia. Murgatroyd wiernie podążał za nim.

Pod drzwiami Calhoun poprawił swoją osobliwą broń. Wszedł do środka. Na krześle przed pustą tablicą siedział człowiek, walczący z sennością. Kiedy Calhoun wszedł, podniósł głowę i ziewnął. Odwrócił się.

Calhoun spryskał go pierścieniami mgiełki - wysyłanymi przez wirnik pistoletu. Wirnik wyrzucał pociski z oparów dextrethylu, środka usypiającego opracowanego jakieś dwieście lat wcześniej na bazie chlorku etylu, Nikt jeszcze nie wynalazł niczego lepszego od niego, do specjalnego użytku. Jedna z jego właściwości polegała na tym, że najsłabszy zapach jego oparów wywoływał odruch wciągania powietrza. Inna właściwość związana była z faktem, że podobnie jak antyczny chlorek etylu był to jeden z najszybciej działających znanych środków usypiających.

Człowiek przy tablicy łączności zauważył Calhouna. Jego nozdrza wyczuły zapach dextrethylu. Złapał oddech.

Upadł nieprzytomny.

Calhoun odczekał cierpliwie, aż dextrethyl się ulotni. Był niemal wyjątkiem wśród oparów, gdyż w temperaturze pokojowej był lżejszy od powietrza. Uniósł się więc ku sufitowi. W tej samej chwili Calhoun ruszył naprzód i wyciągnął iniektor z polisiarczanem. Nachylił się nad nieprzytomnym mężczyzną. W żaden inny sposób nawet go nie tknął.

Odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia, a za nim nabożnie wymaszerował z niego Murgatroyd.

Po wyjściu Calhoun powiedział:

— Między nami lekarzami, być może nie powinienem tego robić. Ale mamy tu do czynienia z zagrożeniem dla zdrowia, zarazą. Czasami trzeba korzystać z podstaw psychologii, aby uzupełnić standardowe środki. Uważam, że mamy tu właśnie do czynienia z takim przypadkiem. Tak czy inaczej, tego człowieka powinni zacząć szukać szybciej niż większości pozostałych. Ma taką pracę, że ktoś wkrótce powinien zauważyć jego nieobecność.

— Chee? — spytał z zapałem Murgatroyd.

— Nie — odparł Calhoun. — On nie umrze. Nie byłby chyba taki nieuprzejmy.

Na zewnątrz było już ciemno. Kiedy Calhoun wyszedł na ulicę - w biurze z tablicą łączności nie dotknął niczego, co wskazywałoby na to, że w ogóle do niego wchodził - zapadł zmrok. Gwiazdy świeciły jasno, ale puste, nieoświetlone ulice miasta były mroczne. Wydawało się, że w powietrzu unosi się jakaś bezkształtna groźba. Kiedy Calhoun ruszył ulicą,

Murgatroyd, który nie cierpiał ciemności, wyciągnął futrzaną łapkę i złapał Calhouna za dłoń, żeby ten dodawał mu otuchy.

Calhoun poruszał się cicho, a kroki Murgatroyda w ogóle były niesłyszalne. Atmosfera miasta, w którym nikt nigdy nie mieszkał, sprawiała przygnębiające wrażenie. Śpiące miasto zawsze wydaje się upiorne i dziwne, nawet przy oświetlonych ulicach. Opuszczone miasto jest nie do zniesienia puste, a w dodatku wszyscy jego mieszkańcy zniknęli lub zmarli. Lecz miasto, które nigdy nie obudziło się do życia, które leży martwe pod nocnym niebem, ponieważ jego mieszkańcy w ogóle nie przybyli, aby w nim zamieszkać - takie miasto budzi uczucia najgorsze ze wszystkich. Wydaje się ono czymś nienaturalnym. Wydaje się czymś szalonym. Jest podobne zwłokom, które mogłyby żyć, ale nigdy nie zyskały duszy, a teraz w straszliwy sposób czekają, aż coś demonicznego wejdzie w nie i nada im pozory życia zbyt przerażające, by nawet je sobie wyobrazić.

Najeźdźcy niewątpliwie wyczuwali tę budzącą dreszcze atmosferę grozy. Wkrótce pojawił się na to dowód. Calhoun usłyszał na ulicy ciche, pijackie odgłosy. Rozejrzał się uważnie. Znalazł to miejsce - jedno oświetlone okno na parterze, wychodzące na długą ulicę, wzdłuż której po obu stronach stały wysokie, sięgające nieba budynki. Surowe ściany były kompletnie ciemne. Wąski pas gwiazd widoczny nad głową wydawał się niesamowicie odległy. Sama ulica była pusta, ciemna i pełna ech dźwięków, które tak naprawdę nigdy nie zostały wydane. W dodatku tutaj nie docierały żadne naturalne odgłosy. Potężne mury odcinały normalne nocne dźwięki otwartych przestrzeni. Panowała martwa, głucha i pełna szeptów cisza, od której aż dzwoniły bębenki w uszach.

Z wyjątkiem pijackiego śpiewu. Ludzie pili razem w bezsensownie małym pokoju, który bardzo jasno oświetlili, żeby sprawiał wrażenie żywego. Wszędzie dokoła panowała martwota i cisza, więc wydawali pozornie radosne dźwięki, nastrajając się do tej wesołości wieloma butelkami alkoholu. Przy dostatecznie dużej ilości trunków może dałoby się uwierzyć w tę iluzję. Ale była to żałośnie drobna niteczka dźwięku w ciemnym i pustym mieście. Na dworze, gdzie Calhoun i Murgatroyd zatrzymali się, żeby posłuchać, odgłosy pijackich śpiewów miały w sobie coś z gryzącej ironii.

Calhoun chrząknął, a odgłos ten odbijał się echem pomiędzy surowymi ścianami wokół nich i wyżej.

— Moglibyśmy użyć tych osobników — chłodno zauważył. — Tylko że jest ich zbyt wielu.

Wraz z Murgatroydem ruszyli dalej. Zaznajomił się już wcześniej z gwiazdami i wiedział, że kierują się w stronę sieci lądowniczej. Doprowadził do sytuacji, że jeden z ludzi na służbie - przy tablicy łączności - nie wykonywał swojej pracy. Proces ten był starannie zaplanowany. Ogłuszył najeźdźcę pierścieniami oparów dextrethylu, a następnie dał mu zastrzyk z polisiarczanu. Kombinacja użytych środków była standardowa, podobnie jak siarczan magnezu i eter przed wieloma wiekami. Polisiarczan był pomocniczym środkiem znieczulającym, którego nigdy nie stosowano samodzielnie, ponieważ człowiek, który został uśpiony przy jego użyciu,

pozostawał nieprzytomny przez kilka dni. W chirurgii stosowano go w ilościach, które zdawały się nie mieć w ogóle żadnego wpływu na człowieka, dopiero leciuteńki powiew dextrethylu powodował, że pacjent mógł zostać poddany operacji, po której natychmiast można go było przywrócić do życia. Rozwiązanie to było bezpieczniejsze i dawało lepszą kontrolę, niż jakikolwiek inny rodzaj znieczulenia ogólnego.

Calhoun jednak odwrócił ten proces. Uśpił operatora tablicy łączności oparami dextrethylu, a następnie podał mu polisiarczan, aby utrzymać go pod wpływem środka usypiającego przez sześćdziesiąt godzin lub dłużej. A potem go zostawił. Gdy któryś z najeźdźców zostanie znaleziony nieprzytomny, bardzo to utrudni życie innym rzeźnikom. Nie będą podejrzewać, że jego stan jest wynikiem działania nieprzyjaciela. Uznają, że zapadł w śpiączkę. Ostatnim etapem zarazy, którą sprowadzili na tę planetę, była właśnie śpiączka. Będą więc wierzyć, że ich towarzysz umiera na zarazę, na którą przecież mieli być odporni. Wpadną w panikę, oczekując natychmiastowej śmierci również dla siebie. A znalezienie w stanie śpiączki więcej niż jednego człowieka, jeszcze skuteczniej wywołałoby całkowitą dezorganizację i rozpacz.

Z tyłu, przy jedynym oświetlonym oknie, na pustej czarnej ulicy walnęły drzwi. Ktoś stamtąd wyszedł. Potem ktoś inny. Następnie trzeci człowiek. Ruszyli ulicą, śpiewając coś ochryple i nieharmonijnie, a wykrzykiwane słowa były równie niewyraźne i niepewne, jak ich kroki. Pomiędzy wysokimi ścianami budynków rozchodziły się tysiące ech. Efekt był niesamowity.

Calhoun wszedł do otworu drzwi. Czekał. Kiedy trzej mężczyźni znaleźli się naprzeciw niego, spletli ramiona, aby się utrzymać na nogach. Jeden z nich wyrykiwał wersety piosenki, która nie nadawała się do wydrukowania, do niego od czasu do czasu niepewnie dołączał się drugi. Trzeci protestował przeciwko czemuś ze złością. Zatrzymali się i cała trójka uroczyście zaczęła spierać się o coś trudnego do określenia, kołysząc się niepewnie, gdy wygłaszali swoje tyrady z przemądrzałą, pijacką powagą.

Calhoun uniósł pistolet do malowania. Przytrzymał spust. Niewidoczne pierścienie oparów dextrethylu pomknęły w stronę chwiejącego się tria. Wciągnęli powietrze. Upadli. Calhoun podjął kolejne kroki.

Po chwili jeden z mężczyzn leżał już na ulicy nieprzytomny, w śpiączce, która doskonale, poza brakiem wychudzenia, imitowała śmiertelną śpiączkę uciekinierów z miasta. W pewnej odległości dalej, Calhoun zmierzał w stronę sieci lądowniczej, niosąc przewieszonego przez ramię drugiego mężczyznę, również nieprzytomnego. Murgatroyd podążał tuż za nim. Trzeci człowiek, rozebrany do bielizny, czekał w miejscu, gdzie będzie można go znaleźć w ciągu następnego dnia lub dwóch.

VI

„Używanie określenia „hazardzista” w odniesieniu do człowieka, który korzysta z tabel aktuarialnych lub tabel prawdopodobieństwa, aby obstawiać zakłady, zapewniając sobie w ten sposób korzystny procent zysku, jest czymś niewłaściwym. Tym bardziej nie jest właściwym nazywać hazardzistą człowieka, który oszukuje. Poprzez swoje oszustwo eliminuje on ryzyko ze swego działania. Absolutnie nie uprawia on hazardu.

Jedynym prawdziwym hazardzistą jest ten, kto podejmuje ryzyko, nie biorąc pod uwagę szans; który działa w oparciu o rozum, intuicję, przeczucie lub przesąd, nie odwołując się do prawdopodobieństwa. Ignoruje fakt, że w określaniu skutków każdego działania biorą udział zarówno przypadek, jak i myśl. W tym sensie każdy przestępca jest prawdziwym hazardzistą. Jest zawsze przekonany, że prawdopodobieństwo nie będzie zakłócać jego działań, że nie nastąpi żadne zdarzenie losowe. Jednakże do tej pory nie przeprowadzono analizy statystycznej przestępstwa, która wykazałaby, że było ono działaniem, które w miarę rozważny człowiek mógłby zaryzykować. Skutki czystego, przypadkowego zbiegu okoliczności mogą być tak niesamowicie przytłaczające…”

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Odgłosy nocy na planecie Maris III rozbrzmiewały na wszystkich otwartych przestrzeniach, poza miastem. Z samych budynków dobiegała oczywiście tylko cisza. Tu i ówdzie rozdzielały je parki, a wzdłuż wszystkich autostrad rozpościerały się tereny zielone. Lecz z miasta dobiegały jedynie ciche, ćwierkające dźwięki. Otwarte tereny wręcz śpiewały ku gwiazdom.

Calhoun usadowił się wygodnie ze swym nieprzytomnym ładunkiem i Murgatroydem. Nie wiedział, ile czasu upłynie, zanim nieobecność operatora tablicy łączności zostanie zauważona i ktoś sprawdzi co się z nim dzieje. Był jednak pewien, że pojawienie się śmiertelnej śpiączki u kogoś, który powinien być odporny na zarazę, przyniesie właściwe rezultaty. Człowiek spod tablicy łączności zostanie zabrany do mikrobiologa, który musiał dowodzić tą morderczą operacją. Musiał ktoś taki istnieć. Ktoś, kto wie wszystko o zarazie. Ktoś, kto będzie w stanie stawić czoła każdemu nietypowemu wydarzeniu, które by się pojawiło. Można założyć, że tylko najlepiej wykwalifikowanemu człowiekowi, ze wszystkich pracujących nad wywołaniem zarazy, można było powierzyć przeprowadzenie jej pierwszych testów w terenie. Mógł to nawet być ten

człowiek, który wymyślił tę całą synergiczną kombinację. Byłby w pobliżu. Miałby cały możliwy sprzęt, jakiego mógłby potrzebować, w doskonale urządzonym laboratorium na statku. I to do niego powinni zanieść człowieka znalezionego przy tablicy łączności.

Calhoun czekał. Miał przy sobie kolejnego człowieka w pozornej śpiączce, gotowego do użycia, gdy nadejdzie czas. Teraz odpoczywał w głębokim cieniu gwiazd pod jedną z masywnych podpór sieci lądowniczej. Murgatroyd trzymał się blisko niego. Tormale byłe zwykle aktywne w ciągu dnia. Przerażała je ciemność. Mógłby więc zacząć piszczeć i lamentować, gdyby nie mógł zostać blisko Calhouna.

W górze majaczyły strzeliste, ciężkie łuki sieci lądowniczej. Sieć ta była w stanie obsłużyć liniowe dwudziestotysięczniki a nawet i cięższe statki. Została zbudowana do prowadzenia międzygwiezdnych interesów planety. Za siecią, na tle gwiazd, rysowało się miasto. Budynek sterowni, z którego zarządzano siecią, zajmował powierzchnię ponad pół akra, niedaleko miejsca, w którym przyczaił się Calhoun. Oczy lekarza przyzwyczaiły się już do ciemności i widział słabe jasne prostokąty, jak gdyby z budynku zwracały się w jego stronę oświetlone oczy okien. Znajdował się niecałe sto metrów od gigantycznego, kulistego statku, który przywiózł tu najeźdźców, aby dokonali swej rzezi.

Panowała cisza, jeśli nie liczyć chóru niezliczonych cichych odgłosów, które śpiewały niebiosom. To był dźwięk o niesamowicie pełnym charakterze. Od czasu do czasu Calhoun słyszał długotrwałe, głębokie, basowe nuty, przypominające najniższe możliwe tonów wielkich organów. Potem dobiegały płynne tryle, które mogły pochodzić od dowolnego rodzaju ptaków, zwierząt lub gadów. Pomiędzy nimi rozległy się ćwierkania i gwałtowne peany muzyczne, przypominające drewniane instrumenty dęte, wykonujące bardziej ulotne melodie.

Calhounowi nietrudno było czekać. Cała sprawa ułożyła się już w jego głowie. Miał poczucie, że nie tylko wie, co wydarzyło się na tej planecie, ale także co może się wydarzyć gdzie indziej, jeśli to konkretne przedsięwzięcie okaże się opłacalne. Ludzie, którzy byli w stanie coś takiego zaaranżować, mogli pójść jeszcze dalej. Znacznie dalej. Wszystko, co potrafił sobie wyobrazić w tej chwili, mogło okazać się trywialne w porównaniu z tym, co mogło nadejść później.

W mieście pojawiło się światło. Calhoun usiadł w pełnej gotowości i obserwował. Był to samochód naziemny na autostradzie, z jaskrawymi reflektorami oświetlającymi drogę przed nim. Na chwilę zniknął za budynkami. Pojawił się ponownie. Przejechał po długim moście, zniknął i znów się pojawił. Zbliżał się i wkrótce jego reflektory zabłysły ostrym światłem w oczy Calhouna, kiedy przemknął wściekle po trawniku u podstawy sieci lądowniczej, kierując się w stronę dużego budynku, w którym mieściły się transformatory i elementy sterujące pracą sieci.

Tam gwałtownie się zatrzymał. Jego reflektory pozostały włączone. Zeskoczyli z niego ludzie i wbiegli do budynku sterowni. Calhoun nie słyszał żadnych rozmów. Pieśni nocnych stworzeń zagłuszały wszelkie ludzkie głosy. Jednakże po kilku minutach z budynku wyszło jeszcze więcej ludzi. Skupili się wokół samochodu naziemnego. Po zaledwie paru

sekundach samochód znów ruszył, podskakując i kołysząc się na trawie, zmierzając w stronę stojącego na ziemi statku kosmicznego.

Zatrzymał się w odległości stu metrów od miejsca, w którym ukrył się Calhoun. Światła reflektorów połyskiwały i lśniły na wybrzuszeniach, srebrzystego metalu burt statku kosmicznego. Jakiś mężczyzna wykrzyknął w stronę statku:

— Otwierać! Otwierać! Coś się stało! Ten człowiek jest chory! To wygląda jak zaraza!

Nie było żadnej reakcji. Krzyknął ponownie. Inny człowiek zaczął walić w gruby metal zewnętrznych wrót śluzy.

Z zewnętrznych głośników odezwał się nagle głos.

— Co to ma znaczyć? O co chodzi?

Wiele głosów próbowało mówić jednocześnie, lecz jeden ostry głos uciszył je i wyszczekał zdania, z których każde Calhoun mógłby napisać już wcześniej.

W centrum łączności miasta był człowiek na służbie. Nie realizował połączeń z różnych miejsc użytkowanych przez najeźdźców. Ktoś poszedł dowiedzieć się dlaczego. Człowiek przy tablicy łączności leżał nieprzytomny. Wyglądało, jakby miał zarazę. Wyglądało na to, że zastrzyki, które otrzymał, aby zapewnić mu odporność, nie zadziałały.

Głos dochodzący z głośników oświadczył:

— Bzdury! Wnieście go do środka!

Kilka sekund później wrota śluzy otworzyły się i opadły na zewnątrz, tworząc rampę prowadzącą z ziemi do wgłębienia kadłuba, tworzącego śluzę powietrzną, teraz wystawioną na pełny widok. Ludzie na ziemi wyciągnęli bezwładną postać z samochodu naziemnego. Na wpół przenieśli, na wpół wciągnęli ją po rampie do śluzy. Calhoun zobaczył, że wewnętrzne drzwi również się otwierają. Wciągnęli postać do środka.

Potem nic się nie działo, poza tym, że niemal natychmiast ze statku wyszedł jeden człowiek, wycierając ręce o mundur, jakby histerycznie bał się, że dotykając nieprzytomnego towarzysza, zaraził się jego chorobą.

Po chwili wyszedł drugi człowiek. Cały drżał. Potem inni. Ostry głos oznajmił z wściekłością:

— Teraz musi dowiedzieć się, co się dzieje. To nie może być plaga. Dostaliśmy przeciwko niej zastrzyki. Na pewno wszystko będzie dobrze. Może po prostu zemdlał czy coś takiego. Przestańcie się zachowywać, jakbyście mieli zaraz umrzeć! Wracajcie na służbę! Na wszelki wypadek zarządzę zbiórkę wszystkich ludzi.

Calhoun słuchał tego z satysfakcją. Wewnętrzne drzwi śluzy zamknęły się, ale zewnętrzne pozostały opuszczone niczym rampa. Samochód ruszył, zatrzymał się, wysadził kilku pasażerów w budynku sterowni i pojechał gdzieś dalej. Zniknął na autostradzie, na której pojawił się po raz pierwszy.

— Człowiek, którego uśpiłem — powiedział sucho do Murgatroyda — wywarł na nich niezbyt korzystny efekt. Mają nadzieję, że to tylko jakiś odosobniony wypadek. Zobaczymy. Ale ta władcza osoba ma zamiar zarządzić teraz apel. Powinien stwierdzić coś, co im wszystkim da do myślenia, kiedy to nastąpi.

— Chee — odparł Murgatroyd zgodnym tonem.

Znów zapadła cisza i spokój, jeśli nie liczyć pieśni otwartego kraju do gwiazd. Wydawało się teraz, że w tym refrenie słychać sporadyczne uderzenia bębnów.

Minęło pół godziny, zanim teren koło budynku sterowni oblany został światłem. Wyglądało to, jakby otworzyły się jakieś niewidzialne drzwi i światło przez nie wypłynęło. Po kilku minutach pojawiły się światła reflektorów. Zniknęły na chwilę i znów wychynęły z ciemności, podobnie jak światła pierwszego samochodu.

— Ha! — zawołał Calhoun, z zadowoleniem. — Sprawdzając co się stało, znaleźli tego drugiego najeźdźcę, którego zostawiliśmy na ulicy. Poinformowali o tym przez komunikator. Może zgłosili też zaginięcie dwóch innych ludzi, z których jeden leży obok ciebie, Murgatroyd. Powinni być nieco poddenerwowani.

Samochód przemknął przez środek sieci lądowniczej i zahamował. Czekały już na niego ludzkie postacie. Po króciutkiej przerwie przy sterowni podjechał ponownie do statku koło otwartych wrót śluzy. Ostry głos wydyszał:

— Mamy kolejnego! Przywieźliśmy go.

Głośnik odparł z pewną irytacją:

— Dobrze. Ale ten pierwszy człowiek nie ma zarazy. Jego metabolizm jest w normie. Nie ma zarazy!

— Oto jeszcze jeden, dokładnie w takim samym stanie!

Po rampie wspięły się postacie ludzkie z drugim bezwładnym brzemieniem. Kilka minut później ponownie wyszły na zewnątrz.

— Nie obudził tego pierwszego człowieka — odezwał się niespokojny głos. — To mi źle wygląda.

— Mówi, że to nie plaga.

— Jeśli on twierdzi, że tamten nie jest chory na zarazę — warknął władczy głos, — to nie jest! Powinien wiedzieć. W końcu, to on ją wynalazł!

Calhoun, stojący za gigantyczną podporą sieci lądowniczej, powiedział bardzo cicho dla siebie:

— Ach!

— Ale… popatrzcie tylko — powiedział wystraszony głos. — Kiedy tu przylecieliśmy, w mieście byli lekarze. Może niektórym udało się uciec. Może… może mieli jakieś zarazki, które wypuścili, żeby nas zabić…

Władczy głos warknął coś ze złością. Rozmowa przeszła w jazgot skłóconych głosów. Najeźdźcy byli wyraźnie zatroskani. Byli wystraszeni. Normalnie nigdy by im do głowy nie przyszło podejrzewać istnienie choroby, która została wśród nich celowo rozsiana. Ale przecież byli tu, aby monitorować właśnie taką chorobę. Nie rozumieli takich zagrożeń. Byli dostatecznie mocno żądni zysku, pod warunkiem, że sprawa miała ściśle jednostronny charakter. Teraz jednak wyglądało na to, że zaatakowała ich jakaś choroba. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że była to zaraza, na którą, jak ich zapewniano, mieli być odporni. Niektórzy z nich już trzęśli się ze strachu.

Samochód odjechał spod stojącego na ziemi statku kosmicznego. Zatrzymał się na dłuższą chwilę przed budynkiem sterowni. Wywiązała się tam burzliwa dyskusja. Calhoun usłyszał ciche odgłosy kłótni przebijające się przez głosy nocy. Samochód znowu odjechał.

Poczekał, aż minie dwadzieścia minut. Wydawały mu się wiecznością. Potem wziął mężczyznę, którego pozbawił przytomności przed pomieszczeniem, w którym odbywała się hałaśliwa impreza alkoholowa. Przerzucił go przez ramię. Nałożył na siebie mundur trzeciej ofiary z ciemnej ulicy, podczas gdy ten trzeci człowiek leżał w bieliźnie, dobrze ukryty. W końcu miano go odnaleźć.

— Poprosimy teraz o zaproszenie na statek i do laboratorium, Murgatroyd. Chodź!

Ruszył w stronę nieruchomego i cichego statku kosmicznego.

Gdy się do niego zbliżał, statek rósł i w końcu zamajaczył w ciemnościach całym swym ogromem. Zewnętrzne wrota śluzy nadal były wysunięte w dół, jak rampa. Wszedł na metalową pochyłość. Dotarł do śluzy. Tam zapukał do wewnętrznych wrót i zawołał:

— Mamy kolejnego! Wygląda jak inni! Co mam z nim zrobić?

Metaliczny głos oznajmił ze złością:

— Czekaj!

Calhoun więc zaczekał. Dwóch nieprzytomnych mężczyzn, przyniesionych po kolei przez grupę ludzi, którzy za drugim razem byli jeszcze bardziej wystraszeni niż za pierwszym, uczyniło bardzo możliwym, że trzeci nieprzytomny człowiek nie będzie miał ze sobą licznego orszaku troskliwych towarzyszy. Towarzystwo jednego człowieka, który przypuszczalnie narażał się na zarażenie, było o wiele bardziej prawdopodobne.

Usłyszał kroki za wewnętrznymi wrotami śluzy. Otwarły się. Zachrypnięty głos polecił:

— Wnieś go do środka!

Mężczyzna, który zszedł do śluzy, odwrócił się plecami, żeby zaryglować zamek wewnętrznych wrót. Calhoun wszedł za nim na statek, a Murgatroyd dreptał bojaźliwie między jego nogami. Wrota śluzy zatrzasnęły się. Postać w białym fartuchu laboratoryjnym ruszyła dalej. To była niewielka postać. Lekko utykała. Nie była dobrze ukształtowana.

Calhoun, niosąc nieprzytomnego członka ekspedycji najeźdźców, którego używał jako zasłony do ukrycia pistoletu na farby - jak się do tej pory okazało, bardzo odpowiedniej broni - ruszył za nim. Nasłuchiwał ponuro, starając się wykryć jakiekolwiek odgłosy, które mogłyby wskazywać na obecność na statku kosmicznym innego człowieka. Co prawda teraz, kiedy zobaczył - nawet tylko od tyłu - postać kierownika terenowego projektu eksterminacji prawowitych mieszkańców Maris III, chłodno doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie będzie tutaj nawet żadnego asystenta laboratoryjnego.

Poruszająca się przed nim dziwna postać idealnie wpisywała się w pewną specyficzną niszę. Są ludzie, którzy z tego powodu, że są nieatrakcyjni fizycznie, stają się osobowościami zbuntowanymi. Zbyt wiele dziewcząt - i mężczyzn także - nie musi robić zupełnie niczego aby dobrze

wyglądać. Część ludzi, na których co prawda nie warto patrzeć, odważnie akceptuje tę sytuację i stają się ludźmi, których warto znać. Inni jednak buntują się, pełni goryczy.

Wiedząc, że człowiek ten poświęcił swój rozum, umiejętności i mnóstwo żmudnej pracy, aby opracować metodę masowego morderstwa, Calhoun czuł że niemalże jest w stanie, napisać jego biografię. Był groteskowym dziwadłem. Nienawidził więc tych, którzy uważali go za groteskowego. Roiły mu się wspaniałe marzenia o zdobyciu władzy, aby móc ukarać tych, którym zazdrościł i których nienawidził. Nałożył na to plany zemsty na całym kosmosie, co dało mu mnóstwo gniewnej energii, którą można było wykorzystać w inny sposób. Rozwinął w sobie zdumiewającą cierpliwość i niesamowity jad. Knuł tylko, knuł i knuł…

Calhoun spotykał już ludzi, którzy mogli wybrać tę drogę. Jeden ze wspaniałych ludzi w Dowództwie Sektora, którego pochwały były cenniejsze niż czyste złoto, był dziwny, gdy widziało się go po raz pierwszy. Ale po pięciu minutach już się tego w ogóle nie zauważało. W konstelacji Łabędzia był prezydent planety, na Cetis Alfa nauczyciel, muzyk… Calhoun mógłby podać tu bardzo wiele przykładów. Jednakże ta kulejąca postać, która szła przed, nim nie zdecydowała się postępować zgodnie z prawem naturalnym, które zaleca odwagę. Zamiast tego wybrała ona nienawiść, a więc nieunikniona była i frustracja.

Weszli do laboratorium. Tutaj Murgatroyd bardzo się ucieszył. To miejsce było jasno oświetlone. Błyszczące instrumenty wyglądały znajomo. Nawet zapachy pięknie wyposażonego laboratorium biologicznego uspakajały Murgatroyda i sprawiały, że czuł się jak w domu. Oznajmił radośnie:

— Chee-chee-chee!

Mała postać odwróciła się błyskawicznie. Ciemne oczy rozszerzyły się i popatrzyły gniewnie. Calhoun zrzucił swój ciężar na podłogę. Gdy zsuwające się w dół ciało szarpnęło za materiał, spod tuniki najeźdźców wyjrzał jego mundur Służby Medycznej,.

— Przykro mi — oznajmił łagodnym tonem Calhoun, — ale muszę pana aresztować za naruszenie podstawowych zasad zdrowia publicznego. Wymyślenie i szerzenie śmiertelnej zarazy, to co najmniej.

Postać ponownie błyskawicznie się odwróciła. Coś chwyciła. Następnie rzuciła się w stronę Calhouna, desperacko próbując użyć skalpela chirurgicznego, jedynej śmiercionośnej broni jaką miała w zasięgu ręki.

Calhoun nacisnął spust aparatu z pierścieniem wirowym, przeznaczonego do malowania ścian budynków. Tylko, że tym razem nie było w nim farby. Zamiast tego wyrzucił on niewidoczne pierścienie oparów dextrethylu.

VII

„Z pewnego, absolutnie prawdziwego punktu widzenia, wszystkie motywacje i wszystkie satysfakcje człowieka mają charakter subiektywny. W końcu żyjemy we własnych głowach. Ale człowiek może zrobić coś, czego żałuje, a potem z przyjemnością przyjmować konsekwencje swojego działania. Ta przyjemność, oczywiście, jest subiektywna, lecz ma bezpośredni związek z rzeczywistością i otaczającym człowieka obiektywnym kosmosem. Istnieje jednak pewien ultra-subiektywny rodzaj motywacji i satysfakcji, który ma ogromne znaczenie w postępowaniu człowieka. Wiele osób największą satysfakcję znajduje w kontemplacji siebie samych, w jakimś specyficznym kontekście. Tacy ludzie znajdują pełnię satysfakcji w dramatycznej gestykulacji, w pięknie wyrażonych aspiracjach lub po prostu w zwykłym stwarzaniu pozorów swego ogromnego znaczenia, mądrości lub wartości. Rzadko przy tym biorą pod uwagę obiektywne skutki takich gestów lub pozoracji. Bardzo często ci, którzy w zachwycie kontemplują przepiękny dramat swego zachowania, nawet nie pomyślą o jego konsekwencjach dla kogoś innego, powodując czyjeś ogromne kłopoty i cierpienia, a nawet śmierć…”

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Calhoun związał małego człowieczka, podarłszy na paski mundur najeźdźcy, który miał na siebie. Zrobił to bardzo starannie. Przywiązał jeńca do fotela, a następnie omotał go prawdziwym kokonem z pasków materiału. Potem zajął się badaniem laboratorium.

Murgatroyd dumnie kroczył po pomieszczeniu, gdy Calhoun przeglądał wyposażenie. Większość z niego była całkiem znajoma. W jego skład wchodziły płytki hodowlane, mikroskopy optyczne i elektronowe, autoklawy i aparatura do napromieniania, pipety oraz urządzenia do mikroanalizy, szafki termostatyczne umożliwiające utrzymanie materiału hodowlanego w granicach setnych stopnia w otoczeniu pożądanej temperatury. Murgatroyd czuł się tutaj zupełnie jak w domu.

Wkrótce Calhoun usłyszał sapnięcie. Odwrócił się i skinął głową swemu więźniowi.

— Jak się pan ma — pozdrowił go uprzejmie. — Bardzo mnie zainteresowała pańska praca. A tak przy okazji, jestem ze Służby Medycznej. Przybyłem tutaj, aby przeprowadzić rutynowe badanie stanu zdrowotnego planety i ktoś próbował mnie zabić, kiedy poprosiłem o podanie współrzędnych do sprowadzenia mnie na ziemię. Lepiej by było gdybyście pozwolili mi wylądować, a potem zastrzelili mnie z blastera, po

wyjściu ze statku. Tamto było, oczywiście, gestem znacznie bardziej dramatycznym.

Wpatrywały się w niego ciemne, paciorkowate oczy. Z sekundy na sekundę niesamowicie się zmieniały. W jednej chwili ogarniała je płomienna wściekłość, oznaczająca praktycznie niemalże szaleństwo. W innej wydawało się, że robią się niesamowicie przebiegłe. W kolejnej pojawiał się w nich zwierzęcy strach.

Calhoun oznajmił obojętnie:

— Wątpię, czy rozmowa z panem teraz ma sens. Poczekam, aż przemyśli pan sobie sytuację. Jestem na statku. Wygląda na to, że nikt inny, poza panem, nie jest może sprawić mi kłopotów. Dwaj ludzie, których tu sprowadziliście, odpłynęli na kilka dni. — Dodał wyjaśniającym tonem: — Polisiarczan. Nieco przedawkowany. To takie proste, że uznałem, iż się pan tego nie domyśli. Pozbawiłem ich przytomności, żeby pan mnie wpuścił z trzecim okazem.

Związana postać, przypominająca wyglądem mumię, zaczęła wydawać jakieś nieartykułowane dźwięki. Słychać było odgłosy zbliżone do zgrzytania zębów. Towarzyszyły im inne bulgoczące dźwięki szaleńczej, pełnej frustracji wściekłości.

— Wygląda, jakby był pan w stanie emocjonalnego wstrząsu — stwierdził Calhoun. — Myślę, że w części jest on prawdziwy, a w części udawany. Zostawię pana w spokoju, żeby pan sobie z nim poradził. Chciałbym otrzymać pewne informacje. Myślę, że będzie pan chciał się targować. Zostawię więc pana samego, żeby pan to sobie rozpracował.

Wyszedł z laboratorium. Czuł przenikliwy wstręt do człowieka, którego pojmał. Prawdą było, że uwierzył, iż mały człowieczek doznał emocjonalnego szoku, gdy odkrył, że go schwytano i jest bezradny. Częścią tego szoku była jednak wściekłość tak straszliwa, że groziła szaleństwem. Calhoun domyślał się chłodno, że każdy, kto podejmował takie decyzje i prowadził takie życie, jakie przypisywał związanemu człowiekowi - a jego dotychczasowe przypuszczenia, jak się okazało, były niezwykle dokładne - może zostać sprowokowany na tyle mocno by dosłownie umrzeć lub popaść w szaleństwo, teraz, w sytuacji gdy pozostawał w więzach i można było z niego bezkarnie szydzić. Tak się jednak składało, że nie miał ochoty na drwiny ze swojego więźnia.

Przeszedł się po całym statku. Sprawdził jego typ i konstrukcję, zweryfikował nazwę stoczni kosmicznej, w której został on zbudowany, sporządził w myślach dokładną listę tego, co trzeba będzie zrobić, aby zmienić go martwy kadłub, nieprzydatny dla nikogo, a następnie wrócił do laboratorium.

Jego więzień dyszał z wyczerpania. Na paskach materiału, które go więziły, widać było niezbyt duże rozciągnięcia. Calhoun spokojnie znów je pozaciskał. Więzień rzucał w jego stronę nieme, histeryczne przekleństwa.

— Dobrze — skomentował to nieporuszony Calhoun. — Proszę wydusić to szaleństwo ze swojego organizmu, a potem porozmawiamy.

Ruszył, by ponownie opuścić laboratorium. Z głośnika doleciał głos, więc natychmiast poszukał i znalazł mikrofon, za pomocą którego można

byłoby mu odpowiedzieć. Wyłączył go, podczas gdy jego więzień próbował wykrzyczeć do niego jakieś polecenia.

— Jeszcze się nie dowiedziałeś? — zapytał z obawą głośnik. — Nie wiecie, co się dzieje z tymi ludźmi? Na zbiórce zabrakło dwóch kolejnych. Mamy tu coś w rodzaju paniki. Ludzie snują domysły, że to jakiś miejscowy lekarz rozsiewa wśród nas zarazę!

Calhoun wzruszył ramionami. Głos dochodził z zewnątrz. Do niedawna brzmiał on strasznie władczo. Teraz zrobił się bardzo zmartwiony. Calhoun nie odpowiedział na jego pytania. Tamten je powtórzył. Zaczekał i zadał je ponownie. Niemal błagał o odpowiedź. Jednak skoro mikrofon pozostawał wyłączony, we władczym głosie, który musiał należeć do dowódcy rzeźników, wkrótce pojawiła się uraza, że został zignorowany. Ucichł na chwilę, potem odezwał się z drżeniem, lekkim rozdygotaniem, lecz trudno było powiedzieć, czy z nienawiści, czy z przerażenia. Możliwe były obie te przyczyny.

— Pańska popularność się rozwiewa — zauważył Calhoun. Odłożył mikrofon i bezpiecznie go zamknął. Obok wzmacniacza głośnika zauważył odbiornik komunikatora kosmicznego. — Hm — stwierdził. — Podejrzane, co? Nie ufał pan nawet kapitanowi statku. Musiał pan mieć swój własny odbiornik. Typowe!

Związany, pomarszczony człowieczek przemówił nagle z absolutną zimną precyzją.

— Czego pan chce? — zaczął się dopytywać.

— Informacji — odparł Calhoun.

— A dla siebie? Czego pan by chciał? Mogę panu to dać! — powiedziały usta pod na wpół szalonymi ciemnymi oczyma. — Mogę dać panu wszystko, co tylko mógłby pan sobie wyobrazić! Mogę dać panu bogactwa większe, niż mógłby pan marzyć!

Calhoun usiadł niedbale na poręczy fotela.

— Słucham więc — oznajmił. — Ale najwyraźniej jest pan tylko dyrektorem technicznym operacji. To nie jest zbyt wielka operacja. Miał pan do zabicia zaledwie tysiąc ludzi. Działa pan na rozkaz. Jak mógłby pan dać mi cokolwiek ważnego?

— To… — jego więzień zaklął. — To jest test… eksperyment! Proszę mnie puścić, bym mógł go dokończyć, a dam panu świat do rządzenia. Uczynię pana królem planety! Będzie miał pan miliony niewolników! Będzie miał pan kobiety, setkami lub tysiącami, jeśli tak pan woli!

Calhoun stwierdził obojętnie:

— Bez żadnych szczegółów nie może pan się spodziewać, że w to uwierzę.

Ciemne oczy płonęły. Potem, wysiłkiem woli równie szalonym jak jego wściekłość, mała, skrępowana postać opanowała się. Ale to nie był spokój. Furia ponownie wezbrała, kiedy spróbował wykonać gest perswazji i nie mógł się poruszyć. Frustracja sprawiła, że z trudem łapał oddech. Ale pomiędzy takimi chwilami, mówił z przerażającą wiarygodnością i precyzją szczegółów, która wskazywała na opracowany z niesamowitą starannością plan. To był jego plan. Przekonał jeden z rządów planetarnych, aby tego spróbował. On sam był niezbędny do jego realizacji. Miał na tyle dużo

władzy, że mógł próbować przekupić Calhouna mnóstwem rzeczy obiecujących, bogactwo, pociągających i pozornie nie do odparcia. Zabrał się przekonująco do realizacji pomysłu, aby go przekupić.

To było zupełnie przerażające.

Jego jeniec mówił przez cały czas. Ton jego głosu był nachalny i ostry, a przy tym całkowicie przekonywujący i niezwykle sugestywny.

Gdyby Maris III została zajęta przez kolonistów ze świata, który zesłał zarazę, nic nie można by było zrobić. Dettra Dwa nigdy nie zdołałaby wylądować w mieście. Członkowie takiej ekspedycji by umarli. Przetrwać tutaj mogła jedynie ludność z planety uzurpatorów. Do końca świata planeta Maris III musiałaby należeć do ludu, który obsadził ją śmiercią. Stali koloniści, którzy przybyliby w to miejsce musieliby zostać zaszczepieni, tak samo jak członkowie wyprawy najeźdźców.

— Którzy — zauważył Calhoun — nie są już tak zadowoleni jak kiedyś.

Jeniec oblizał wargi i mówił dalej, jego spojrzenie było zabójcze, lecz głos rozsądny, kuszący i niesamowicie hipnotyczny.

Lecz Maris III stanowiła tylko test. Gdyby proces ten dowiódł tutaj swej skuteczności, istniały inne światy do przejęcia. I to nie tylko takie nowe planety kolonialne. Stare i zasiedziałe światy, zostałyby zaatakowane przez zarazy, z którymi ich lekarze nie byliby w stanie walczyć. Potem przybywałyby statki ze świata, który sprawdził tę technikę na Maris III. Statki te obiecałyby położyłyć kres plagom. Najeźdźcy dowiedliby tego. Zaproponowaliby, że sprzedadzą życie wszystkim obywatelom umierających światów - za odpowiednią cenę.

— Nieprofesjonalne — stwierdził Calhoun — ale prawdopodobnie opłacalne.

W rzeczywistości ceną byłoby poddanie się. Byłaby ona równoznaczna z niewolnictwem. Ci, którzy nie przyjęliby tej umowy, ginęliby.

— Oczywiście — zauważył Calhoun — niektórzy mogliby później spróbować wycofać się z takiej transakcji.

Jego jeniec uśmiechnął się wąskimi ustami, podczas gdy jego oczy wcale się nie zmieniły. Przekonująco wyjaśnił, że gdyby doszło do buntu, nie miałoby to znaczenia. Przeciwdziałaniem dla nowego oporu zawsze byłaby nowa zaraza. Istniało wiele plag gotowych do użycia. Zbudowaliby międzygwiezdne imperium, w którym bunt byłby czymś w rodzaju samobójstwa. Żadna planeta raz przejęta, nie będzie w stanie się uwolnić. Żaden wybrany świat nie byłby w stanie im się oprzeć. Powstałyby dziesiątki i setki światów, którymi rządziliby ludzie tacy jak Calhoun. Zyskałby dla siebie własną planetę-królestwo. Wyszkolenie w służbie medycznej dałoby mu własne imperium! Byłby absolutnym władcą i absolutnym panem milionów nędznych niewolników, którzy musieliby spełniać jego najbardziej nawet trywialne kaprysy, bo inaczej by zginęli!

— Mam pewne obiekcje — powiedział Calhoun. — Nie wspomniał pan o Służbie Medycznej. Nie sądzę, by życzliwym okiem przyjęła ona powstanie takiego systemu podboju planet.

Oto nadeszła chwila najtrudniejszej próby zdolności więźnia do wywierania wpływu, przekonywania, kuszenia i niemalże hipnotyzowania. Miał kilka minut, aby uczynić Służbę Medyczną śmieszną i zwrócić uwagę

na bezbronność jej Kwatery Głównej Sektora, a następnie - bez wzbudzania zakorzenionych uprzedzeń - sprawić, by wydawało się naturalne, nieuniknione i niemal zabawne, że Kwatera Główna Sektora Medycznego otrzyma specjalną kurację zapobiegawczą przy użyciu bomby termojądrowej, zaraz po zakończeniu zadania Maris III. Calhoun poruszył się. Jego więzień mówił jeszcze bardziej pośpiesznie, rozpaczliwie. Przedstawiał wizje światów, na których każda żywa istota byłaby niewolnikiem Calhouna…

— To mi wystarczy — odpowiedział mu Calhoun. — Mam wszystkie informacje, których potrzebowałem.

— A więc proszę mnie wypuścić — oznajmił gorliwie jego więzień. A potem jego płonące spojrzenia odczytały pozbawioną już maski opanowania minę Calhouna.

— Musi pan to przyjąć! — zawołał gwałtownie. — Musi pan się zgodzić! Nie może pan mi odmówić! Nie może!

— Oczywiście, że mogę — odparł zirytowany Calhoun. — Nie ma pan pojęcia! Nie chciałbym żadnego miliona niewolników, ani nawet jednego. Jestem w miarę zdrowy na umyśle! A taki szalony plan i tak nie mógłby się udać. Samo prawdopodobieństwo spowodowałoby wystąpienie tak wielu niekorzystnych zdarzeń losowych, że z pewnością musiałby się zawalić. Ja jestem na to najlepszym dowodem. To ja jestem tym niekorzystnym wypadkiem losowym, który wystąpił od razu, kiedy po raz pierwszy spróbował pan tego swego bestialskiego interesu.

Jego więzień próbował mówić jeszcze bardziej przekonująco. Próbował być jeszcze bardziej kuszący. Próbował, ale zaschło mu w gardle. Starał się być jeszcze bardziej przekonujący i pociągający, niż było to możliwe. Nagle zaczął rzucać pod adresem Calhouna przekleństwa. Strasznie się ich słuchało. Krzyknął…

Calhoun uniósł pistolet na farbę, rysy jego twarzy wykrzywiły i skręciły. Wysłał pojedynczy mały pierścień z pistoletu.

W nagłej ciszy, która zapadła, z odbiornika komunikatora kosmicznego znajdującego się w jednym z końców laboratorium, dobiegł cichy, metaliczny głos.

— Wzywam powierzchnię — odezwał się słaby głos. — Statek z domu z pasażerami, wzywa powierzchnię Maris III. Wzywam powierzchnię…”

Calhoun odwrócił głowę i wysłuchał powtarzającego się wezwania. Potem zajął się następną niezbędną rzeczą, którą musiał zrobić ze swoim więźniem.

— Wzywam ziemię — oznajmił cierpliwie głos w komunikatorze. — Nie słyszymy was. Jeśli odpowiadacie, nie odbieramy waszego sygnału. Wchodzimy na orbitę i będziemy nadal was wywoływać. Wzywam ziemię…

Calhoun wyłączył to. Murgatroyd oznajmił pytająco:

— Chee!

— To się nazywa ostatnia chwila — stwierdził ponuro Calhoun. — Dla nas. To statek pełen szczęśliwych, zaszczepionych kolonistów, gotowych aby tu wylądować. Wysadziliśmy im sieć lądowniczą, Murgatroyd, kiedy próbowali nas rozsmarować po ścianach statku Medycznego. Najwyraźniej tym samym wysadziliśmy im komunikator kosmiczny. Więc komunikator

kosmiczny na tym statku jest jedynym, który działa. A my mamy zbyt dużo oleju w głowach, aby odpowiedzieć na to wezwanie. Lecz to i tak zmusza nas do pośpiechu. Jeśli nadal nie uda im się wywołać swoich przyjaciół, statek może pozostać na orbicie, lecz ktoś wyląduje łodzią ratunkową, żeby dowiedzieć się, co jest nie tak. I to załatwi sprawę! Będziemy mieli cały statek pełen entuzjastów gotowych do wylądowania oraz dokończenia tego całego sprzątania - i wykończenia nas! Tylko ty i ja, Murgatroyd, możemy zająć się powstałą sytuacją. Do dzieła!

Lecz było już bardzo blisko do świtu, kiedy on i Murgatroyd opuścili stojący na ziemi statek. Calhoun skrzywił się, kiedy zobaczył na wschodnim niebie ogromną szkarłatną zorzę zbliżającego się wschodu słońca. Przed budynkiem, w którym mieściła się sterownia sieci lądowniczej, zobaczył samochód naziemny.

— Ludzie podenerwowani jak ci tutaj — zauważył Calhoun, — podejrzewający, że ktoś rozsiewa wśród nich zarazę, nie przywitają serdecznie nikogo, kto nie przyleciał tu razem z nimi. Nie podoba mi się pomysł aby tak po prostu odejść sobie stąd na piechotę, kiedy mamy już prawie jasny dzień. Myślę, że lepiej będzie jeśli spróbujemy wziąć sobie ten samochód, Murgatroyd. Chodź!

Skierował się do budynku sterowni. Sądząc po poprzedniej nocy, zajęte pomieszczenia nie miały okien wychodzących na stojący w pobliżu statek kosmiczny. Jednak ostrożnie przemykał się od jednego wielkiego łuku do drugiego. Lecz kiedy dotarł do ostatniego możliwego osłoniętego miejsca, samochód naziemny wciąż znajdował się pięćdziesiąt jardów od niego.

— Biegniemy do niego — powiedział Murgatroydowi.

On i maleńki tormal popędzili przez różowe światło świtu. Pokonali trzydzieści jardów, kiedy ktoś wyszedł z budynku sterowni. Ruszył w stronę samochodu naziemnego. Usłyszał tupot stóp Calhouna po murawie. Odwrócił się w jego stronę. Przez jedną chwilę patrzył, co się dzieje. Calhoun był obcy. Na tej planecie nie powinno być żadnych żywych obcych istot - wszyscy powinni być martwi. Oto wyjaśnienie sprawy dwóch ludzi znalezionych nieprzytomnych i prawdopodobnie umierających oraz dwóch kolejnych zaginionych. Najeźdźca ryknął z całej siły. Jego blaster wyskoczył z kabury.

Calhoun wystrzelił pierwszy. Warczący trzask blastera jest odgłosem nie do pomylenia z niczym innym. Broń najeźdźcy wybuchła z hukiem.

— Biegnij! — warknął Calhoun.

Głosy. Przez okno wyjrzał jakiś człowiek. Calhoun był nieznajomym z blasterem w dłoni. Jego widok stanowił wręcz wezwanie do zabicia go. Człowiek w oknie krzyknął. Kiedy Calhoun strzelił do niego, rzucił się do środka, a okno trzasnęło i buchnęło dymem w miejscu, w którym trafiło wyładowanie blastera.

Mężczyzna i tormal dotarli do linii łączącej samochód naziemny oraz drzwi budynku. Drzwi były otwarte. Calhoun uniósł rozpylacz z dextrethylem i wtłoczył wybuchowe opary dextrethylu do pomieszczenia, jednym ciągłym strumieniem wysyłanym przez wirujące pierścienie. Cofał

się w stronę pojazdu naziemnego, a Murgatroyd tańczył podekscytowany u jego stóp.

Rozległ się trzask pękającego szkła. Ktoś wypadł przez okno. W środku słychać było tupot nóg. Zmierzały one w stronę drzwi, od wewnątrz. Lecz korytarz, czy cokolwiek, co znajdowało się bezpośrednio za drzwiami, został wypełniony gazem usypiającym. Ludzie wciągali powietrze i upadali.

Kolejny człowiek upadł. Calhoun słyszał huk jego ciała uderzającego o podłogę. Ale zza rogu budynku wyskoczył inny człowiek z blasterem, w poszukiwaniu Calhouna. Musiał jednak dostrzec swój cel, a następnie w niego wycelować. Calhounowi wystarczyło jedynie pociągnąć za spust. Zrobił to.

W budynku buchnęły kolejne krzyki. Następne tupoty nóg. Kolejne upadki. Potem rozległ się początek zgrzytliwego warkotu blastera, a na końcu stłumiony, dudniący, ryk detonacji, będącej wynikiem zapalenia się oparów dextrethylu. Wybuch uniósł część dachu budynku. Roztrzaskał ściany działowe. Wybił okna.

Calhoun cofnął się w stronę samochodu naziemnego. Obok niego przemknęła wiązka wyładowania z blastera. Celowo omiótł budynek z wciśniętym spustem. Strzeliły w górę dym i płomienie. Co najmniej jeszcze jeden z najeźdźców upadł. Calhoun usłyszał głos, wrzeszczący:

— Zaatakowano nas! Tubylcy rzucają bomby! Zebrać posiłki! Zebrać posiłki! Potrzebujemy pomocy!

Było to ogólne wezwanie pomocy. Gdziekolwiek ludzie zabijali czas, włóczyli się bez sensu lub bezmyślnie próbowali znaleźć coś do splądrowania, usłyszeli je. Nawet ekipa pracująca przy naprawie sieci lądowniczej - a oni byli w pobliżu - usłyszeli to wezwanie i rzucili się na pomoc. Mieli przybyć myśliwi. Ludzie w samochodach…

Calhoun wciągnął Murgatroyda na miejsce obok siebie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i zapiszczały opony, gdy ruszyli do ucieczki.

VIII

„Przyjmuje się powszechnie, że człowiek jest zwierzęciem społecznym w tym samym sensie, choć na inny sposób, jak stworzeniami społecznymi są mrówki i pszczoły. Aby miasto mrówek mogło dobrze funkcjonować, muszą istnieć pewne prawa naturalne, które chronią je przed niekorzystnymi działaniami ze strony jego mieszkańców. Nie wystarczy mówić o instynktach, które zapobiegają aspołecznym działaniom. Tak samo jak w przypadku formy, istnieją mutacje instynktów, zarówno u mrówek, jak również i innych stworzeń. Nie wystarczy nawet mówić o presji społecznej, która wśród mrówek przybierałaby postać impulsu dążącego do zniszczenia zbuntowanych członków społeczności. Istnieją pewne prawa naturalne chroniące miasto mrówek przed działaniem instynktów, które by je zniszczyły, a także przed rezygnacją z instynktów lub działań niezbędnych miastu mrówek jako całości. Tak więc, mówiąc w największym skrócie, istnieją prawa i oddziaływania naturalne, które chronią społeczeństwa przed ich własnymi członkami. W społeczeństwie ludzkim…”

Prawdopodobieństwo i postępowanie człowieka - Fitzgerald.

Autostrady były oczywiście wspaniałe. Samochód pędził przed siebie, kiedy jego komunikator zaczął wyrzucać z siebie potok słów, gdy ktoś w nieuszkodzonej części budynku sterowni sieci, zaczął histerycznie rozgłaszać, że jakiś nieznajomy zabił wielu ludzi i ucieka samochodem. Podał kierunek jego jazdy. Polecił aby przeciąć mu drogę. Ostro dopominał się, żeby zabić przybysza, zabić, zabić!

Inny głos przejął kontrolę nad sytuacją. Ten głos był szorstki i lodowato wściekły. Wyrzucił z siebie ostro, dokładne instrukcje.

Calhoun znalazł się na wdzięcznie wijącej się, wznoszącej się coraz wyżej drodze. Wzbiła się po samo niebo i przemykała właśnie między dwoma wieżowcami, gdy w jego stronę rzucił się inny samochód. Ujął w lewą rękę blaster. W ułamku sekundy, kiedy samochody mijały się, wystrzelił z niego. Buchnął potworny słup dymu i płomieni, gdy ogniwo Duhanne’a w uszkodzonym pojeździe spowodowało zwarcie i wyparowała połowa metalowej karoserii samego samochodu.

Rozległy się inne głosy. Ktoś dostrzegł eksplozję. Głos w komunikatorze z głośnym rykiem nakazał ciszę.

— Ty tam! — wychrypiał. — Jeśli go dostałeś, zamelduj się!

— Chee-chee-chee! — zapiszczał podekscytowany Murgatroyd.

Ale Calhoun nie miał zamiaru się meldować.

— Dostał jednego z nas — z wściekłością oznajmił lodowaty głos. — Przetnijcie mu drogę od przodu i strzelajcie do niego!

Samochód Calhouna zaczął z pełną szybkością zjeżdżać po drugiej stronie wiaduktu. Pokonał zakręt na dwóch kołach. Przemknął się pomiędzy dwoma gigantycznymi pustymi budynkami, skręcił w boczną drogę, wjechał w nią, ponownie dojechał do skrzyżowania i skręcił w lewo, a następnym razem w prawo. Jednakże w komunikatorze nadal słychać było potok głosów. Jednemu z najeźdźców kazano udać się na najwyższy możliwy most, z którego mógłby obserwować wszystkie znajdujące się w dole jezdnie. Inni mieli rozstawić się tu i tam - i pozostać na swoich miejscach! Z magazynu wyjechała grupa czterech samochodów. Zniszczyć każdy samochód, który będzie jechał. Ostrzelać go! I meldować co się dzieje, meldować, meldować!

— Zdaje się — powiedział Calhoun do siedzącego obok niego, wzburzonego w najwyższym stopniu Murgatroyda — że mamy do czynienia z tak zwaną taktyką wojskową. Jeśli nas otoczą… Jednak na szczęście nie ma ich zbyt wielu. Rozwiązaniem dla nas jest, aby wydostać się z miasta. Potrzebujemy większych możliwości działania. Więc…

Komunikator wyrzucił z siebie meldunek o dostrzeżeniu Calhouna z przypominającego pajęczą sieć mostu, w najwyższym punkcie miasta. Kierował się…

Zmienił kierunek jazdy. Do tej pory widział tylko jeden samochód swych prześladowców. Od tego czasu pędził po pustych, krętych autostradach, wśród niezamieszkanych wieżowców i pomiędzy balkonowymi ścianami, których okna spoglądały na niego pustymi oczami.

Robiło to koszmarne wrażenie wskutek wspaniałości i pustki otaczającego go miasta. Pędził po eleganckich autostradach, pokonując delikatne łukowate mosty, przez szalone rozwidlenia mniejszych arterii komunikacyjnych - i nigdzie nie dostrzegł ani śladu ruchu. Wiatr gwizdał za szybami samochodu, opony przenikliwie piszczały, świeciło słońce, a po niebie spokojnie płynęły małe obłoczki. Na wspaniałych autostradach i w pięknych budynkach nie było żadnych oznak życia ani zagrożenia. Tylko w komunikatorze samochodu mruczały głosy. Widziano go tu-i-tam, jak przemykał po stromym zjeździe. Uciekł z czekającej na niego zasadzki czystym przypadkiem. Był…

Po lewej stronie zobaczył zieleń. Zanurkował w pochyłą rampę, pędząc w stronę jednego z mniejszych parków w mieście.

Lecz kiedy wyjechał spomiędzy kamiennych barierek drogowych, dach samochodu eksplodował mu nad głową. Skręcił i z rykiem wpadł w gęste zarośla, wyszarpnął Murgatroyda z samochodu, mimo że tormal trzymał się mocno wszystkimi czterema łapami i ogonem, po czym sam również zanurkował w zarośla. Jakimś sposobem instynktownie utrzymał w dłoni pistolet malarski.

Biegł, wolną ręką strząsając zestalone kropelki gorącego metalu z odzieży i ciała. Paliły okropnie. Ale człowiek, który strzelił, nie mógł uwierzyć, że chybił, a jego strzał nie spowodował natychmiastowego zniszczenia samochodu. Ten człowiek zajął się rozgłaszaniem wieści o swoim sukcesie, zanim ruszył, aby znaleźć zwłoki rzekomej ofiary. Lecz

niedługo przyjadą inne samochody. W tej chwili Calhoun musiał szybko znaleźć się w jakimś innym miejscu.

Kiedy zdyszany i spocony biegł, kryjąc się wśród listowia drzew, usłyszał odgłosy nadjeżdżających samochodów. Dotarł do przeciwległej strony parku i drogi, za którą znajdował się niski kamienny mur. Od razu domyślił się, co to jest. Główne trasy usługowe biegły na skróty, w większości były zadaszone, aby skryć je przed wzrokiem ludzi, ale od czasu do czasu wychodziły na wolne powietrze, w celu zapewnienia wentylacji. Jedną z taki tras wjechał do miasta. Oto kolejna. Przeskoczył przez murek i spadł. Murgatroyd lekkomyślnie, podekscytowany podążył za nim.

To był długi upadek i zachwiał się, gdy wylądował na ziemi. Usłyszał nad sobą cichy, szumiący dźwięk. Przejechał jakiś samochód. Chwilę później kolejny.

Lekko kulejąc, Calhoun pobiegł do najbliższej bramy serwisowej. Przeszedł przez nią i zamknął ją za sobą. Poparzony i obolały wspiął się na rozbrzmiewające echami wyższe piętra tego budynku. Po kilku chwilach wyjrzał na zewnątrz. Jego samochód stał rozbity w jednym z mniejszych parków w mieście. Obecnie w odstępach dwustu jardów stał tam szereg innych samochodów. Uważano, że krył się gdzieś w zaroślach. Oprócz samochodów, w kordonie znajdowało się w tej chwili około dwudziestu pieszych ludzi, którzy otrzymywali rozkazy od władczo wyglądającej postaci, przebywającej pośród nich.

Rozproszyli się. Zaczęli iść przez park w odległości dwudziestu jardów od siebie. Przybyli inni ludzie i wzmocnili kordon, ku któremu miał być zapędzony. Mysz nie zdołałaby się prześlizgnąć.

Ci, którzy maszerowali przez park, zaczęli metodycznie palić go na popiół swoimi blasterami.

Calhoun obserwował co się dzieje. Potem coś mu się przypomniało i poczuł lekkie przerażenie. Dwa dni wcześniej, gdy był wśród uciekinierów na polanie, Kim Walpole natarczywie go wypytywał, czy ci, którym uratował życie, nie mogliby czegoś zrobić, aby mu pomóc. Powiedział mu, że jeśli zobaczą dym z dużego pożaru w mieście, mogą zbadać sprawę. Nie miał najmniejszego zamiaru ich wzywać. Ale mogli zobaczyć tę chmurę dymu i uwierzyć, że chce, aby przybyli do miasta i mu pomogli!

— Do diabła! — powiedział ironicznie do Murgatroyda. — W końcu, jak widać, istnieją granice dla dowolnej serii działań, które mogą mieć korzystne losowe skutki. Lepiej rozpocznę nową. Mogliśmy zmniejszyć liczbę najeźdźców, a resztę zmusić do ucieczki, ale musiało mi się zachcieć jazdy samochodem! A to doprowadziło do przypadkowego wywołania pożaru! Zatem od tej chwili zaczynamy wszystko od początku, z zastosowaniem nowego podejścia.

Szybko rozejrzał się po budynku. Przygotował odpowiednie środki dla siebie. Wrócił do okna, z którego wyglądał. Otworzył je.

Otworzył ogień ze swojego blastera. Zasięg strzałów był duży, ale przy wiązce energetycznej zredukowanej do poziomu minimalnego rozproszenia, położył zadowalającą liczbę ludzi na dole, zanim rzucili się w stronę budynku, wysyłając przed siebie grad ognia blasterowego, który

rozbijał okna i pokrył kamienną fasadę szaleńczymi rozbłyskami ognia i dymu.

— To — stwierdził Calhoun, — jest sytuacja, w której musimy zmienić ich przewagę liczebną i uzbrojenia, w okoliczność dla nich niekorzystną. Będą odważni, ponieważ jest ich wielu. Chodźmy!

* * *

Z rękami w górze wyszedł naprzeciw czterem samochodom naziemnym, pełnym uchodźców. Nie chciał, żeby zastrzelili go przez pomyłkę. Kiedy Kim i inni wychudzeni ocalali zebrali się wokół niego, pośpiesznie oznajmił:

— Wszystko w porządku. Uśpiłem grupę więźniów, ale na razie nie będziemy się zawracać sobie głowy karmieniem ich dożylnie. Jak zdobyliście samochody naziemne?

— Myśliwi — odparł gwałtownie Kim. — Znaleźliśmy ich, zabiliśmy i zabraliśmy im samochody. Znaleźliśmy też paru innych uchodźców i wyleczyłem ich - a przynajmniej wkrótce zostaną wyleczeni. Kiedy zobaczyliśmy dym, wyruszyliśmy do miasta. Niektórzy z nas wciąż mają zarazę, ale wszyscy otrzymali zastrzyki z serum. Zaś połowa z nas ma teraz broń.

— Mamy dostatecznie dużo broni dla wszystkich — zapewnił go Calhoun — i zostanie jej jeszcze na zapas. Najeźdźcy śpią sobie teraz spokojnie - prawie wszyscy. Paru musiałem zastrzelić z dużej odległości strzałami z blastera, i ci raczej się nie obudzą. Większość z pozostałych próbowała zdobyć szturmem budynek, z którego do nich strzelałem. Zająłem ich tam przez pewien czas, a potem wymknąłem się po wlaniu dextrethylu do układu klimatyzacji. Murgatroyd i ja odczekaliśmy odpowiedni czas, a potem wydłużyłem im okres snu przy pomocy polisiarczanu. Wątpię, żeby ci rzeźnicy sprawiali dłużej kłopoty. Musimy jednak dostać się na statek kosmiczny, którym wylądowali. Uszkodziłem go tak, żeby nie mógł wystartować, ale nadchodzą pewne komunikaty z kosmosu. Jedyny działający komunikator kosmiczny znajduje się na statku. Pierwszy ładunek zaszczepionych, pełnych entuzjazmu kolonistów jest już na orbicie, i banda czekająca na dole dostała tylko trochę czasu na odpowiedź. Chcę jednak żebyście to wy porozmawiali ze statkiem.

— Sprowadzimy ich statek na dół — oznajmił z błyskiem wilczego głodu w oczach mężczyzna o szerokiej brodzie — i rozwalimy ich, gdy będą wychodzili z włazu!

Calhoun pokręcił głową.

— Wręcz przeciwnie — odparł łagodnie. — Założycie ubrania paru z naszych więźniów i pozwolicie, aby nasi weseli przybysze na statku zobaczyli was na ekranie swojego komunikatora kosmicznego. Będziecie udawać, że jesteśmy tymi, którzy tak naprawdę bezpiecznie sobie śpią, i poinformujecie ich, że zaraza zadziałała o wiele za dobrze. Oznajmicie im, że unicestwiła ona pierwotnych mieszkańców – chodzi o was - a potem zmieniła się w tuzin innych plag i unicestwiła tę gromadkę biednych

małych rzeźników, którzy przybyli tutaj aby finalnie wszystko posprzątać. Podacie szczegóły opisu tych innych chorób, w które zmieniła się prawdziwa zaraza. Będziecie przy tym niesamowicie patetyczni. Będziecie ich błagać, aby wylądowali tu i zabrali tych czterech czy pięciu umierających, oraz całe mnóstwo chorych oraz wysoce zarażających ocalałych. Powiecie im, że zaraza zmutowała tak bardzo, że aż nawet miejscowe zwierzęta na nią umierają. Latające stworzenia spadają martwe w locie. Ćwierkające stworzenia giną masowo na drzewach i w trawie. Maris III stanie się planetą, na której żadne zwierzę nie będzie miało szansy przeżyć - i będziecie ich błagać, aby przylecieli, wzięli was i zabrali ze sobą do domu.

Mężczyzna o szerokiej brodzie patrzył na niego z niedowierzaniem. Potem stwierdził:

— Ale przecież oni nigdy w życiu nie wylądują.

— Nie — zgodził się z nim Calhoun. — Nie wylądują. Odlecą do domu. Jeśli tamtejszy rząd nie każe ich wszystkich zabić, zanim zaczną mówić, opowiedzą swojemu światu, co się tu stało. Będą na wpół żywi ze strachu, że zastrzyki uodparniające, które otrzymali, też ulegną mutacji i zamienią ich w takie same ofiary zarazy, na jakie wy będziecie wyglądali. A jak myślicie, co stanie się na planecie, z której pochodzą?

Kim oznajmił wilczym tonem:

— Pozabijają swoich władców. Będą starali się to zrobić, zanim umrą z powodu tych wszystkich plag, jakie sobie wymyślą. Zbuntują się! Wystarczy, że kogoś rozboli brzuch, a oszalały ze strachu spróbuje zabić każdego urzędasa państwowego, którego dopadnie, ponieważ będzie myślał, że to rząd go zamordował!

Kim złapał głęboki oddech. Uśmiechnął się bez śladu wesołości.

— Podoba mi się to — oświadczył z czymś w rodzaju śmiertelnego spokoju. — Bardzo mi się to podoba.

— W końcu — zauważył Calhoun — gdyby już powstało to ich imperium, a podbite narody utrzymywane były pod kontrolą przez groźbę zarazy, to ile czasu byłoby potrzeba, zanim pierwotna ludność nie zostałaby zniewolona przy pomocy tej samej groźby? Idźcie teraz i wymyślcie parę interesujących chorób, i sprawcie, żebyście wyglądali naprawdę przerażająco. Niebiosa wiedzą, że faktycznie jesteście mocno wychudzeni! Ale możecie wyglądać jeszcze gorzej. Powiedziałem kiedyś, że lekarz musi czasami, oprócz zwykłych metod zapobiegania zarazom, korzystać z psychologii. Służba Medyczna wkrótce sprawdzi tę zasadę na tej planecie, ale myślę, że jej ambicją będzie skończenie z tym zagrożeniem dla zdrowia, dla reszty galaktyki.

— Tak — odparł Kim. Ruszył, by odejść. Po chwili zatrzymał się. — A co z pańskimi więźniami? Są teraz nieprzytomni. Ale co z nimi będzie?

Calhoun wzruszył ramionami.

— Och, pozwolimy im spać, do czasu gdy nie zakończymy naprawy sieci lądowniczej. Myślę, że będę mógł w tym dopomóc.

— Każdy z nich jest mordercą — warknął mężczyzna o szerokiej brodzie.

— To prawda — zgodził się Calhoun. — Ale lincz to kiepskie rozwiązanie. Stwarza nawet możliwość niekorzystnych konsekwencji losowych. Proponuję, abyśmy najpierw zajęli się czekającym na górze ładunkiem kolonistów.

I tak zrobili. Dziwne, że potrafili czerpać przyjemność z odgrywania wyimaginowanej katastrofy, nawet większej niż ta, jaką sami przeżyli. Ich oczy błyszczały radośnie, gdy zajmowali się swoim zadaniem.

Statek z pasażerami odleciał. Nie była to przyjemna podróż. Kiedy wylądował na swej ojczystej planecie, jego pasażerowie w popłochu wybiegli z portu kosmicznego, aby opowiedzieć wszystkim swoją historię. Ich rodzimy świat wpadł w panikę, która była tym bardziej niekontrolowana, że ludziom wcześniej bardzo dokładnie opowiedziano, jak śmiercionośne będą te oswojone plagi dla mieszkańców światów, które mogliby chcieć zdobyć. A teraz uwierzyli, że oswojone plagi zwróciły się przeciwko nim.

Liczba zgonów, zwłaszcza wśród członków klasy rządzącej, była w przybliżeniu równa liczbie zgonów, które spowodowałaby śmiertelna pandemia.

Za to na Maris III wszystko poszło gładko. W sumie odnaleziono i wyleczono ponad osiemdziesiąt osób, które następnie pomogły rozwiązać sprawę uśpionych najeźdźców. Tę pracę wykonali niemal z miłością. A już z pewnością sprawiło im to ogromną satysfakcję. Sieć lądownicza zaczęła ponownie działać dwa dni po odlocie statku z pasażerami. Zajęli stojący na ziemi statek kosmiczny, zniszczyli na nim napęd i komunikatory, a także unieszkodliwili ogniwa Duhanne'a. Wyciągnęli zatyczki w ogonach jego rakiet i spuścili z nich paliwo rakietowe. Zniszczyli je, pozostawiając tylko tyle aby wystarczyło dla małego statku Medycznego. Naturalnie ze statku najeźdźców usunięto także łodzie ratunkowe.

A potem ożywili nieprzytomnych rzeźników-najeźdźców i wsadzili ich, jednego po drugim, na statek kosmiczny, którym przylecieli. Statek ten był obecnie pustym kadłubem. Nie mógł lecieć na silnikach ani korzystać z rakiet, a nawet wysyłać żadnych sygnałów. Jego ekrany wizyjne były ślepe; parę z nich zabrano dla statku Medycznego.

A potem użyli sieci lądowniczej - Calhoun osobiście sprawdził obliczenia - i umieścili swoich więźniów na orbicie, aby czekali tam na przybycie właściwych władz. Mieli na pokładzie wystarczająco dużo żywności, ale jakakolwiek próba ucieczki byłaby czystym samobójstwem. Nie mogli więc uciec.

— A teraz — oznajmił Calhoun, kiedy planeta została już oczyszczona z obcych — teraz przelecę moim statkiem do sieci. Wymienimy na nim ekrany wizyjne i naładujemy ogniwa Duhanne’a. Dałbym radę dolecieć do Kwatery Głównej na rakietach, ale to daleka droga. Złożę tam raport i przyślą wam zespół terenowy by sprawdzić planetę, również pod kątem sztucznie wywołanych epidemii. W jakiś sposób zajmą się też więźniami na orbicie. To nie jest moja sprawa. Może Dettra Dwa będzie chciała ich dostać. W międzyczasie mogą sobie siedzieć tam na górze i zrobić rachunki sumienia.

Kim zauważył, marszcząc brwi:

— Zrzucił pan jednak coś na nasze barki! Tak nas pan zajął, że zapomnieliśmy o jednym człowieku. Powiedział pan, że wśród najeźdźców powinien być jakiś mikrobiolog. Powiedział pan, że prawdopodobnie to on stworzył zarazę. A teraz on jest na orbicie razem z resztą – i nie otrzyma większej kary niż oni! Coś pan zrzucił na nasze barki. On zasługuje na specjalne potraktowanie!

Calhoun wyjaśnił mu bardzo spokojnym tonem:

— Zemsta zawsze może przynieść niekorzystne konsekwencje losowe. Zostawcie go w spokoju. Nie macie prawa go karać. Mielibyście prawo ukarać dziecko, aby poprawić jego zachowanie, lub ukarać człowieka, aby odstraszyć innych od zrobienia tego, co on. Czy spodziewacie się skorygować zachowanie człowieka, który wynalazł panującą tu zarazę i zamierzał ją wykorzystać do stworzenia imperium niewolników? Czy sądzicie, że należy zniechęcać innych do próbowania tego samego?

Kim oznajmił głucho:

— Ale on jest mordercą! Te wszystkie morderstwa były jego winą! Zasługuje na to by…

— Wymierzyć mu karę? — zapytał ostro Calhoun. — Nie macie prawa do jej wymierzania. Tak czy inaczej, pomyślcie, z czym on musi się teraz zmierzyć!

— On… on… — Twarz Kima uległa zmianie. — Jest tam, na orbicie, pozbawiony wszelkich nadziei, otoczony rzeźnikami obwiniającymi go za kłopoty, w jakich się znaleźli. Nie mają nic innego do roboty, jak tylko go nienawidzić. Nic…

— Nie jesteście winni tej sytuacji — stwierdził chłodno Calhoun. — Tak. Po prostu umieściliście więźniów w bezpiecznym miejscu, bo w innej sytuacji ich upilnowanie byłoby niemożliwe. Sugeruję, żebyście o nim zapomnieli.

Kim wyglądał jakby miał dostać mdłości. Pokręcił głową, żeby ją trochę rozjaśnić. Próbował wyrzucić ze swoich myśli człowieka, który zaplanował tę czystą grozę. Powiedział powoli:

— Szkoda, że nie możemy zrobić czegoś dla pana.

— Jeśli postawicie mi pomnik — stwierdził sucho Calhoun — to za dwadzieścia lat nikt nie będzie wiedział, skąd on się wziął. Pan i Helen pobierzecie się, prawda? — Kiedy Kim skinął głową, Calhoun dodał: — Jeśli z upływem czasu, będziecie o mnie pamiętać i uznacie to za warte zachodu, możecie nadać dziecku moje imię. Dziecko będzie się zastanawiać dlaczego i dopytywać się, dzięki czemu pamięć o mnie przetrwa przez całe pokolenie.

— Znacznie dłużej — upierał się Kim. — Tutaj nigdy pana nie zapomnimy!

Calhoun uśmiechnął się w jego stronę od ucha do ucha.

* * *

Po kolejnych trzech dniach, czyli o sześć dni później, niż się spodziewał, że spędzi na ziemi, na Maris III, sieć lądownicza wyniosła mały statek Medyczny w przestrzeń kosmiczną. Piękne, niemalże puste

miasto skurczyło się, gdy pole sieci przeniosło maleńki statek kosmiczny na odległość pięciu średnic planety i tam go wypuściło. Calhoun obrócił statek Medyczny i ostrożnie skierował go w stronę miejsca w gromadzie Cetis, w którym znajdowała się Kwatera Główna Służby Medycznej. Wcisnął przełącznik hipernapędu.

Wszechświat zawirował. Calhounowi wydawało się, że żołądek dwukrotnie wywrócił mu się na nice i opanowało go budzące mdłości uczucie, że wiruje w czymś, co przypominało stożek. Przełknął ślinę. Murgatroyd także wydał z siebie odgłos przełykania. Wokół statku nie było już widać wszechświata. Zapadła martwa cisza. Potem zostały uruchomione generatory tych drobnych, przypadkowych dźwięków, które są niezbędne, aby człowiek nie załamał się w martwym bezruchu statku poruszającego się z prędkością trzydziestokrotnie większą od światła.

Dalej nie było już nic do roboty. Podczas lotu w hipernapędzie nie pozostaje nic innego, jak tylko zabijać czas.

Murgatroyd ujął w prawą łapkę wąsy z prawej strony i starannie je polizał. To samo zrobił ze swymi lewymi wąsami. Popatrzył na kabinę i zdecydował się na miękkie miejsce, w którym będzie mógł sobie spokojnie pospać.

— Murgatroyd — powiedział surowo Calhoun — muszę się cię odrobinę zbesztać. Za bardzo naśladujesz nas, ludzi! Kim Walpole przyłapał cię, jak krążyłeś po okolicy z iniektorem i zaczynałeś podawać naszym więźniom kolejne zastrzyki polisiarczanu. To mogło ich zabić ! Osobiście uważam, że byłby to całkiem niezły pomysł, ale w przypadku lekarza, to postępowanie wysoce nieetyczne. My, profesjonaliści, musimy hamować swoje impulsy! Rozumiesz?

— Chee! — odparł Murgatroyd. Zwinął się w kłębek i starannie otulił ogonkiem nos, przygotowując się do drzemki.

Calhoun usadowił się wygodnie na swojej pryczy. Wziął książkę. To była książka Fitzgeralda o prawdopodobieństwie i postępowaniu człowieka.

Zaczął czytać, gdy statek leciał przez pustkę kosmosu.

KONIEC